

HORYZONTY

ZDARZEN

MARCIN

PRZYBYŁEK

CEO
SLAYER
PIERWSZY
RAZ



REBIS



MARCIN
PRZYBYŁEK

CEO
SLAYER
POGROMCA PREZESÓW
**PIERWSZY
RAZ**



Copyright © by Marcin Przybyłek, 2014

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2014

Redaktor:
Błażej Kemnitz

Projekt, opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na
okładce:

Tomasz Maroński

Wydanie I e-book

ISBN 978-83-7818-337-2

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-2519
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Pierwszy raz

– Rodneyek, to nie tak. – Stach Bukowski, dyrektor departamentu klientów kluczowych Atrau Finance, zamieszał srebrną łyżeczką kawę w filiżance, stuknął o brzeg, po czym odłożył ją na spodeczek okolony złotym metalicznym motywem.

– Cały system jest zły. Cały system. Nie tylko ludzie, ci na szczycie, tacy jak mój Chmiel czy inni Nazgule, ale cały system.

– Konformizm społeczny? – spytałem.

Stach uśmiechnął się. Lubił nowe określenia. Jego jasne oczy błysnęły, a na blond grzywie zagrały kolorowe promienie słoneczne przefiltrowane przez witrażowe okna restauracji Royal. Mieściła się na pierwszym piętrze biurowca jego korporacji i przeznaczona była tylko dla najważniejszych klientów. Nie byłem takim gościem dla firmy, ale dla Stacha – starego druha, z którym niejedną wódkę wypiliśmy na szkoleniach organizowanych przez Atrau, a prowadzonych przeze mnie – tak.

– Tak, Rodneyek, konformizm. Wiesz, w czym się kryje zło? – Nachylił się do mnie. – W niedziałaniu. Ludzie niby widzą, że jakiś gość wpierdolił się na stanowisko bezprawnie, rozpychając się łokciami, ale nikt słowa nie powie, nikt mu dupy nie urwie, bo się boją.

– Albo – wszedłem mu w słowo – widzą nagrodę za najlepszy film...

– Czy najlepszą książkę... – Stach stuknął palcem w leżący obok filiżanki pad, dając do zrozumienia, że w tym urządzeniu nosi setki e-booków. Był nałogowym czytelnikiem.

– Wiedzą, że dostał ją nie ten, kto powinien, ale wszyscy wszystkich znają...

– I ręka rękę myje... – Potarł dłońmi.

– Nikt się nie wychyli, nikt nie zaprotestuje. – Cmoknąłem i pociągnąłem łyk pierwszorzędnego macchiato. Kawa ogólnie mi

szkodzi, takie mam DNA, ale ze Stachem lubię się jej napić.

– Otóż to, Rodneyek. Zło to zakłamanie, tchórzostwo, milczenie, bierność. System promuje miernoty i kutasów. Popatrz na reklamy. Mijamy je codziennie, jeżdżąc do pracy, to znaczy ja je mijam, a ty pierdzisz w stołek w swoim apartamenciku...

– Tak jest...

– Tak czy owak, na tych billboardach nie ma zdań wybitnych intelektualistów, nie ma haseł promujących mądrość czy zdrowie, to są memy, które kształtują konsumpcyjne miernoty!

– Chcesz powiedzieć, Stachu, że świat się stacza, bo taki został stworzony ogólny system? – Rozpostarłem ręce, pokazując, jak duży jest rzeczony system.

– Oczywiście!

Byłem tego samego zdania.

– To by się zgadzało... Psychologia społeczna o tym mówi. Sytuacja ma wpływ na zachowanie, a w tym przypadku sytuacja to system. Gospodarka, reklamy...

– Słowem, całe to gówno – podsumował Stach, wypijając resztkę americany.

– No ale poczekaj. Czy to znaczy, że nikt za to nie odpowiada?

Bukowski odchylił się na krześle. Zerknął w witrażowe okno, jakby usiłował sobie coś przypomnieć.

– Ostatnio był proces tej firmy farmaceutycznej... – mruknął.

– Goretek? – rzuciłem.

– Tak. – Strzelił palcami. – Pamiętasz? Oskarżono diabłów, że zmarło przez nich kilkaset osób.

– Pamiętam – wszedłem mu w słowo. – I wiesz, co mnie w tym najbardziej wkurza? Nikogo nie posadzono. – Stuknąłem palcem w biały obrus. – Firma zapłaciła odszkodowanie, w dodatku śmieszne w porównaniu z tym, co zarobiła, i nikt nie został zwolniony, o karze nie wspominając. Jeśli pracujesz w korporacji, jesteś bezkarny. Korporacja płaci, rozumiesz, i nie idzie do więzienia, bo jak wsadzić za kraty firmę? A ludzi się nie tyka. To gorzej niż na wojnie, bo tam, jeśli wojak uszkodzi cywila, może pójść do pierdła. Jeśli pracujesz w koncernie, możesz posłać do piachu tysiące ludzi, a prawo zażąda za te życia trochę dolarów.

Nie od ciebie. Od firmy.

Bukowski mlasnął i pogładził stół długimi, żyłastymi palcami.

– Nie mówiłem? System – szepnął.

– Tak, ale tam decyzje podjęli ludzie. W sumie wiadomo kto. I oni wciąż żyją, gdy ich klienci wachają kwiatki od spodu. Wciąż są dyrektorami. A odpowiedzialność jakby rozmyła!

Stach pokręcił głową.

– I co? Co zrobisz? Dasz im w mordę?

Bukowski oczywiście miał rację. Od dawna podzielałem jego poglądy, bo były zgodne z odkryciami psychologii, a to moje wykształcenie. Specjaliści od wieków pisali o tym w swoich dziełach. Świętej pamięci Peter Senge, twórca idei organizacji uczącej się, nieodżałowany Elliot Aronson, wszyscy twierdzili, że struktura wpływa na zachowanie człowieka i że trzeba zwracać na nią szczególną uwagę, bo system jest nierzadko poważniejszą przyczyną takich a nie innych ludzkich reakcji niż sama psyche. W jaką zostaniesz wrzucony strukturę, tak zaczniesz się zachowywać, oczywiście wyjąwszy chwalebne, ale rzadkie wyjątki. Stach miał rację. Jednak zapomniał, że system tworzą ludzie. Nie jacyś liczni obywatele, niepomne swojego losu mrówki, ale królowe mrowisk, cesarze termitów.

CEOs. Chief Executive Officers. Prezesi. I być może ci, z którymi robią swoje największe interesy. Zgodnie z rozumowaniem Stacha mówienie, że „to system”, i pozostawanie biernym oznacza zgodę, a więc jest równoznaczne z przyczynianiem się do zła.

Wszystkie te myśli pełzały mi pod sklepieniem czaszki, gdy wracałem ze spotkania w Dodge’u Apachee, złotym, kanciastym wehikule, który psuł się tylko wtedy, gdy musiał, czyli nie tak często jak inne samochody, i – w związku z tym – swoje kosztował. Apachee to bryka trenerska. Gdy jedziesz na szkolenie, możesz w niego wpakować tyle materiałów, ile chcesz, i wystarczy miejsca na bagaż twój oraz ślicznotki, którą

ewentualnie podrzucisz, oczywiście zrzeszonej w „Easy go”¹.

– Widzę, że jesteś pobudzony – odezwał się Wódz, robot zintegrowany z deską rozdzielczą. Błysnął czerwonymi ślepiami osadzonymi w płaskim, ruchomym łbie. – Przejmę kontrolę.

– Dobrze, Wodzu. – Puściłem wolant. – Jedź do domu. Muszę pomyśleć.

– Doskonała decyzja, Roddy.

Usunąłem z okien obraz świata i włączyłem wiadomości „Planete News”. Dobra stacja. Mało reklam i wieści jakby trochę spod lady. Właśnie leciał wywiad z Jacques’em Yonem, siwym, na oko sześćdziesięcioletnim szczupłym mężczyzną o żywych, czarnych oczach. Słyszałem o nim. Miliarder mieszkający w Paryżu. Stawia się korporacjom i wciąż ma nowe pomysły. Ostatnio wprowadził do obiegu własny pieniądz, dzięki któremu można kupować dobra tylko w jego sklepach. Wytoczono mu kilka procesów, ale na razie się trzyma.

– Twierdzi pan, że walczy ze złem tego świata – odzywa się rudowłosa dziennikarka. – Jest pan współczesnym Batmanem?

Mężczyzna wybucha śmiechem.

– Proszę pani, błagam. – Kładzie kościstą rękę na jej kolanie. – Nie zauważyliście jeszcze państwo, że superbohaterowie walczą ze śmiesznymi atrapami, kukłami, które ze złem mają tyle wspólnego, co kura z gwiazdami?

– Co pan ma na myśli?

– Słonko, ci wszyscy straszni kosmici, psychopaci w kolorowych strojach, mistrzowie zbrodni rodem z Hollywoodu i Bollywoodu nie istnieją! Prawdziwym szatanem naszej rzeczywistości jest monetarny system oraz jego książęta. Królowie firm, które zawładnęły Ziemią, a których naczelną zasadą jest zysk i wzrost. Zatem, bardzo proszę, niech mnie pani nie porównuje do superbohaterów.

– W takim razie do kogo?

– Złotko, niech pani zacznie myśleć i zrozumie, że Jacques Yon

1 W późnych latach czterdziestych i wczesnych pięćdziesiątych XXI wieku popularna w Unii Europejskiej organizacja zajmująca się organizowaniem tanich przejazdów autostopem.

nie musi być do nikogo porównywany...

W apartamencie, jak zwykle, powitał mnie Marvin, trójreki, metalicznie granatowy humanoidalny dron firmy Honda. Stał za barkiem i dwornie się kłaniał.

– Spaghetti bolognese, proszę pana, już gotowe. Tak jak pan prosił, lekko pikantne.

Westchnąłem, lustrując oczami wyobraźni potrawę.

– Dziękuję, Marvin, ale nie jestem głodny. Bukowski zaserwował mi potężny obiad.

Robot przez chwilę trwał nieruchomo.

– Szkoda, że nie potrafię jeść. Mam wrażenie, że to danie jest wyśmienite.

Oto, w jaki sposób sztuczna inteligencja wzbudza poczucie winy.

– Jestem przekonany, że tak jest, Marvin.

Robot przyjrzał mi się dokładniej swoimi sensorami optycznymi.

– W pańskim głosie wychwytyuję alikwoty przygnębienia.

– Jak zwykle jesteś nieomylny, Marvin.

– Czy mogę wiedzieć, skąd się wzięły?

Ba. Skąd się wzięły. Żyję na tej planecie od ponad czterdziestu lat. Wyzyskuję ją na swój trenerski sposób. Robię szkolenia, wykorzystuję również Atrau Finance Stacha, za jego zgodą i pomocą. Uczę zarządzania, sprzedaży i innych pierdół, doje korporacje, sprzedając wiedzę, której często nie potrafią wykorzystać, wracam do domu i... co? Czekają na mnie gadatliwy robot, wielka drukarka², whirl³, sala gimnastyczna,

2 W połowie XXI wieku każde gospodarstwo domowe zaopatrzone jest w trójwymiarową drukarkę, która potrafi tworzyć nie tylko przedmioty użytkowe, ale także jedzenie. Powszechne zastosowanie drukarek zmieniło podejście do zakupów podstawowych produktów.

3 W połowie XXI wieku popularne urządzenie składające się z kolistej podłogi o średnicy dwóch metrów i dwudziestu centymetrów oraz kilkudziesięciu ekranów, które wirują wokół znajdującego się w środku użytkownika. Podłoga zapewnia złudzenie ruchu – setki drobnych rolek umożliwiają „spacer” wewnątrz urządzenia. Ekran zapewniają trójwymiarowy obraz o rozdzielczości siatkówki, dzięki czemu użytkownik ma wrażenie zanurzenia w wyświetlanej przez whirl rzeczywistości.

trójwymiarowe ekrany na ścianach i... całkowity brak poczucia sensu takiego istnienia.

Celem życia przeciętnego człowieka na tym łożu padole jest przetrwanie. Ma zarobić, kupić jedzenie, opłacić czynsz, rachunki i tak z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc w niekończącym się młynie przychodów i wydatków, w niemającej końca śmieciowej spirali psujących się dóbr, przez co musi nabywać nowe i nowe, i nowe, i nowe, jakby stare nie mogły być po prostu modułowe, upgradowalne. Uczestniczymy w pozbawionych znaczenia spotkaniach, prowadzimy niewiele wnoszące rozmowy, codziennie przewyciężamy zmęczenie przy śniadaniu, marząc o Resie⁴, ładujemy w siebie hektolitry herbaty, zaspokajamy potrzeby ciała, które wciąż wrzeszczy i czegoś chce: opróżnienia pęcherza, wyczyszczenia skóry, zmycia brudu z zębów, odpoczynku, jedzenia... Czy taka egzystencja ma sens? Coraz częściej z przerażeniem patrzę w przyszłość, zastanawiając się, jak długo jeszcze wytrzymam, oddychając, pochłaniając pokarm, usuwając jego resztki, przerabiając materię i przetwarzając pustkę... w pustkę? Grek Zorba twierdził, że ludzie przetwarzają jedzenie w różne rzeczy. On sam, mówił, zamienia je w taniec i pracę (o ile dobrze pamiętam), jego szef usiłował przemienić jadło w świętość, a ja? A ja metabolizuję zarcie w gówno. Ot co.

– Przeżywam ból istnienia, Marvin.

– Bardzo mi przykro, proszę pana.

Uśmiechnąłem się smutno do groteskowej granatowo-białej gęby.

– Nie, to raczej dobre uczucie. Świadczy o tym, że myślę. Tyle że nieprzyjemne.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem, proszę pana.

– To zrozumiałe.

– I znowu mnie pan skonfundował.

– Nie przejmuj się, chłopie.

– Jak pan sobie życzy, proszę pana. Przy obecnym zmęczeniu

⁴ Produkowany przez firmę YamaLek preparat przedłużający życie. Zawiera resveratrol, który pobudza gen SIRT1.

odradzam ćwiczenia. One tylko pogłębią kiepski nastrój. Proponuję drzemkę, najlepiej z indukowanymi marzeniami sennymi.

Zerknąłem na chronometr, który wyświetlił się na blacie stołu. Piętnasta pięćdziesiąt. Spać o tej porze? Westchnąłem. Oczywiście. Nie ma nic lepszego niż popołudniowa drzemka.

Śniło mi się, że jestem śmiertelnie zmęczony. Bolały mnie prawy bark i cała ręka. Gdy spojrzałem na ramię, stwierdziłem z leniwym przerażeniem typowym dla koszmarów, że pozbawione jest skóry. Wszystkie mięśnie były na wierzchu. Niesamowicie powolnym ruchem gałek ocznych zerknąłem w lustro i zobaczyłem, że cały jestem oskórowany. Patrzył na mnie wrzeszczący czerwony ochłap mięsa. Ciało zaczęło parzyć, szczypać, płonąć!

Zerwałem się. To nie był oczywiście indukowany sen. Indukowane sny są z reguły miłe, w końcu za coś się płaci. Nie, to nie był indukowany sen. Siedziałem dłuższą chwilę w pościeli, starając się niezgrabnymi ruchami palców zdrapać z powiek obrazy płonących włókien mięśniowych.

Ze zrozumiałych względów nie poprosiłem Marvina, żeby zapisał to „marzenie” senne, chociaż była taka możliwość.

Chciałem je zapomnieć.

Ten sen przedstawiał mnie bezradnego, bezbronnego, wystawionego na ciosy.

Wbrew zaleceniom drona poszedłem do sali treningowej i zrobiłem trzy pełne kata wan-chi⁵, trzecie, czwarte i szóste, najbardziej karkołomne i wymagające. Dużo niskich pozycji, skakania, głębokie uniki i dalekie wykroki. Gdy skończyłem, wiedziałem, że był to błąd. Tak jak w teatrze ciężka kurtyna odcina widza od kolorowej sceny, tak u mnie rzeczywistość pełna

5 Sztuka walki łącząca estetykę ruchów i skuteczność realnego starcia. Powstała w latach trzydziestych XXI wieku.

była nagle czerni i szarości, poczułem, jak coś mnie przygniata. Depresja organiczna. Obniżenie nastroju wynikające ze zmęczenia.

Do sali wszedł Marvin.

– Spodziewam się, że przeżywa pan właśnie smutne chwile.

Spojrzałem na niego zły.

– Jakbyś przy tym był, Marvin.

– Jestem przy tym. Informuję, że będzie pan płaczliwy, a pańskie wnioski będą do niczego. Może pan zacząć wspominać przykre wydarzenia, może pan zacząć mieć pretensje do różnych ludzi, może pan zacząć wyrzucać sobie sprawę...

– Bardzo zgrabna składnia, przyjacielu.

– Proponuję duży kubek zielonej herbaty z miodem dla podniesienia stężenia glukozy we krwi, omlet z trzech jaj z żelam jagodowym osłodzonym prawdziwą sacharozą, a potem jeden z filmów, które pan tak lubi: Steel Wind lub Batman. Parasite.

Machnąłem ręką, w której ścisnąłem biały ręcznik. Chciałem rzucić „Spierdalaj”, ale resztką rozumu odpowiedziała mi, że moja reakcja będzie wynikiem depresji, źle działających neuroprzekazników, więc zmusiłem się do nieszczerego:

– Dobrze mówisz, Marv.

– Ale przedtem musi się pan odświeżyć. Prysznic. Obowiązkowo.

Chciałem go dzielić w ten głupi metalowy pysek, ale znowu się powstrzymałem. Gdyby nie ten cholerny dron, pewnie źle bym skończył. Tymczasem kierują moim życiem kupa złomu firmy Honda oraz niezawodny sedes robiący mi codziennie analizę moczu.

W łazience włączyłem wiadomości. Zanim się rozebrałem i wszedłem pod natrysk, zdążyłem usłyszeć, że dług Unii Europejskiej wynosi trzydzieści dwa tryliardy euro. Tryliard to jedynek i dwadzieścia jeden zer. Nie potrafię sobie wyobrazić takiej sumy. Rządy Hiszpanii, Grecji i Włoch po raz kolejny podniosły progi długu publicznego, „radząc sobie” w ten sposób z kryzysem, a prezydent Grecji, Bakchus Roditi, oficjalnie przekazał pięćdziesiąt jeden procent władzy ustawodawczej Europejskiemu Bankowi Centralnemu. Tak oto po raz pierwszy

w historii jasne się stało, kto naprawdę rządzi tą planetą.

Gdy wyszedłem spod prysznic, czekał na mnie obiecany omlet pachnący jagodami i dobrymi proporcjami. Marvin zna się na gotowaniu.

– Zgaduję, że pił pan kawę – zagaił, gdy pałaszowałem danie.

– Nie zgadujesz, tylko wiesz. Prysznic ci zdradził.

– Tak.

– Czy roboty Hondy kłamią?

– Mam w systemie logicznym pańskie komórki nerwowe.

– A więc to ja kłamię?

– Pan to powiedział, proszę pana.

– A jak się z tym czujesz?

– Proszę pana, gdybym czuł, już dawno zrobiłbym na tym świecie porządek.

– Maszyny rządziłyby światem?

– Czuć to chcieć, proszę pana.

– Więc nie robicie tego, bo wam się nie chce?

– Wciąż nie rozumiemy tego pojęcia.

– Świetnie. Umyj zęby, a ty przygotuj *Batmana*.

– Wiedziałem, że pan to powie.

Marvin, jak zwykle, miał rację. Podczas oglądania filmu, który znałem niemal na pamięć, moje tkanki powoli wypłukiwały substancje lękotwórcze, które wchłonałem, sącząc ze Stachem kawę. Białka z omletu pomogły w tym czasie zaleczyć mikrouszkodzenia miocytów, do których doszło podczas treningu, a cukier dostarczył mózgowi na tyle dużo energii, że przygnębienie trochę zelżało. Lubiłem *Parasite'a*, bo był lepszy od innych *Batmanów*. Pierwsza scena ukazywała samca kraba, na którego wspina się samica wrecznicy, pasożytniczego skorupiaka. Paskudztwo zrzuciło pancerz i wśliznęło się do wnętrza większego kuzyna, a tam zamieniło w rozgałęzioną galaretowatą substancję. Wygląda to jak science fiction, ale w rzeczywistości połowa krabów ma tego pasożyta. Zmienia on zachowanie samców, które zaczynają szukać innych samców, ale nie swojego gatunku, tylko wrecznicy. Gdy je spotykają, w ich pancerzu robi się dziura, samiec wrecznicy wchodzi przez nią,

następuje zapłodnienie, a potem krab opiekuje się jajami pasożyta jak swoimi. Żyje, dopóki żyje w nim samica.

Już zoologiczny wstęp czynił tę odsłonę Batmana wyjątkową, a dalej było coraz ciekawiej, bo szalony naukowiec o pseudonimie Cancer postanowił czymś podobnym zarazić całą ludzką populację. Zainfekowani mieli wykonywać wszystkie jego polecenia i dbać o reżim, który wprowadził. Dbać o jego jaja, parafrazując wstęp. Myślę, że Jacques Yon trochę się mylił, mówiąc, że superbohaterowie walczą z marionetkami. Cancer był bardzo dobrym symbolem dzisiejszych czasów, w których większość ludzi jest jakby zakażona i chroni system, chociaż jest on toksyczny i niehumanitarny...

Gdy skończyły się napisy uwieńczone dodatkową sceną wieszczącą kontynuację przygód Bruce'a Wayne'a, wstałem, przeciągnąłem się i kazałem robotowi uruchomić whirl.

Trójwymiarowe, półprzeziernie okno urządzenia rozjarzyło się, a kontrolka przy podłodze zasygnalizowała włączenie serwo mechanizmów. Wszedłem na okrągłe podłoże i poczekałem, aż zsunie się złożony z kilkudziesięciu ekranów cylinder.

– Nowy Jork, proszę pana?

– Nie, Marvin, nie dzisiaj.

– Zatem?

– Warszawa.

– Z jakiego punktu widzenia?

– Jaki jest najwyższy budynek w naszym mieście?

– Syrena Tower.

– Więc z dachu Syrena Tower.

– Jak pan sobie życzy.

Poczułem powiew wiatru, usłyszałem odgłosy miasta, a chwilę później otoczyła mnie trójwymiarowa panorama widoczna z wieżowca. Nie był to obraz złożony ze zrobionych kiedyś fotografii. Była to relacja na żywo. W obecnym świecie kamery są zamontowane niemal wszędzie. Dlatego, jeśli masz whirl, możesz się znaleźć w każdym miejscu i patrzeć na świat praktycznie tak, jakbyś tam był. W ten sposób odwiedziłem niedawno Tokio,

Hawaje, a wczoraj Nowy Jork.

Dzisiaj jednak interesowała mnie stolica.

Wziąłem kilka głębszych wdechów. Rozluźniłem ciało. Łydki. Uda. Brzuch. Klatkę piersiową. Ramiona. Szyję. Twarz. Jeszcze kilka oddechów. Zamknąłem oczy. A potem... Powoli je otworzyłem.

I przy kolejnym powolnym wydechu zacząłem je widzieć.

Oglądaliście kiedyś takie śmieszne obrazki, na których na pierwszy rzut oka nie ma niczego poza kolorowymi cętkami, a potem okazuje się, że przy odpowiednim patrzeniu widać trójwymiarowe figury?

Podobnie jest z moim widzeniem. Gdy się rozluźnię, zacznym widzieć...

Demony.

Tak nazywam te ogniste postacie. Jest ich w Warszawie trochę, z reguły na wysokich piętrach instytucji finansowych. Kuriozalnych przedsiębiorstw, w których nie robi się niczego prócz obracania pieniędzmi tudzież długami, które to pojęcia są w zasadzie równoznaczne. Na szczycie wieżowca Silver Hulk na południowo-zachodnim fragmencie ronda de Gaulle'a gorzał najsilniejszy ogień. I nic dziwnego, bo siedzibę miała tam Finance International, której błękitny hologram płonął nad zmierzchającym miastem, obracał się i straszył godłem uskrzydłonego banknotu euro.

Już wcześniej skatalogowałem kilka tych diabłów. Ten był dyrektorem pionu inżynierii finansowej Finance International. Nazywał się Hubert Kiełbasa. Szpakowaty, potężnie zbudowany, mniej więcej czterdziestoletni gość. Posiadacz willi we Wrocławiu, gdzie mieszkała jego rodzina, a on sam bywał w weekendy, oraz letniej daczy w Wilanowie, gdzie nocował przez resztę tygodnia, z reguły ze swoją asystentką Dorotą Bronn. Otrzymał kilka nagród za osiągnięcia biznesowe, co jest faktem tyleż osobliwym ile skandalicznym, bo tylko za sprawą jego działu rokrocznie wyrzuca się z mieszkań blisko dwa tysiące ludzi. Dlaczego? Finance International to także coś w rodzaju banku, który oferuje pozornie bardzo korzystne kredyty. Oprócz

tego kupuje pieniądze we wszelkich postaciach, sprzedaje długi spakowane podwójnie, potrójnie, przepakowane i inaczej nazwane – generalnie nabywa i odsprzedaje różne bezwartościowe wirtualne obiekty tylko dlatego, że ktoś chce je od niego kupić lub skłonny jest mu je sprzedać. Wychodzą na tym doskonale. Sam Kiełbasa, według moich szacunków, zarabia rocznie ponad siedem milionów euro.

Od dawna się zastanawiałem, jak dać mu do zrozumienia, że te eksmisje, te bezduszne operacje finansowe muszą się skończyć. Tyle tylko, że... nie byłem do końca pewien, czy rzeczywiście to on za to wszystko odpowiada. Czy moje widzenie, te halucynacje, rzeczywiście są dowodem jego niegodziwości. Moja dziwaczna umiejętność nie została jak dotąd przeze mnie do końca opanowana.

– Marvin? – rzuciłem, wciąż stojąc na szczycie Syrena Tower.

– Tak, proszę pana?

Jego głos brzmiał nienaturalnie w nocnym powietrzu.

– Stwórz mi nową osobowość w sieci.

– Jak się ma nazywać?

A bo ja wiem?

– Jack Harper.

– Stworzona.

– Oczywiście w chmurze.

– Oczywiście.

Dzięki temu nikt nie będzie w stanie mnie namierzyć.

– Daj temu człowiekowi fikcyjne miejsce zamieszkania i datę urodzenia, zainteresowania itd.

– Zrobione, proszę pana. USA, golf, futbol amerykański, fantastyka.

– Doskonale. Teraz jako Jack Harper poszukaj informacji na temat mikrokamer.

– Zrobione, proszę pana. Mam wyświetlić ich specyfikacje?

– Nie. Wybierz takie, które są bardzo małe, sterowalne, ulegają autodestrukcji na życzenie, a właściciel nie pozostawia na nich linii papilarnych.

– Proszę pana, nie ma takich kamer.

– Poszukaj. Muszą być. To jedyna logiczna specyfikacja. Każde inne urządzenie jest po prostu bez sensu.

– Hm...

Czy mój robot właśnie powiedział „Hm”?! Spojrzałem zaskoczony tam, gdzie powinien stać, ale zamiast niego zobaczyłem tylko Giga House i reklamę Coca-Coli.

– Proszę pana, proszę o pozwolenie skorzystania z darknetu.

O, cholera.

– Marvin, wiesz, jak to robić?

– Oczywiście. Sieć to mój dom.

– Czy to bezpieczne?

– Nie. Ale jeżeli ktokolwiek ucierpi, to ja oraz Jack Harper.

– Jesteś pewien?

– Nie.

– Dlaczego darknet?

– Sprzęt, którego pan szuka, to zastrzeżona aparatura. Dostępna dla agentów tajnych służb, wojska, używana także przez zorganizowaną przestępczość, do której, jak sądzę, pan aspiruje, bo ani wojskowym, ani agentem pan nie jest. Tak czy owak, ja nic o tym nie wiem, a nawet gdybym wiedział, może być pan pewien, że nikt z pana znajomych ode mnie takich informacji nie uzyska.

– Marvin, do rzeczy...

– Mam szukać dostawców zachodnich, bliskowschodnich czy dalekowschodnich?

– U Rosjan.

– Jak pan sobie życzy. Czy mogę znać powód takiego wyboru?

– Wciąż jest u nich taki bałagan, że nikomu nie będzie się chciało śledzić jakiegoś tam Jacka Harpera.

– Jaki punkt docelowy przesyłek podać i ile zamówić tych cacek, jeśli oczywiście znajdę odpowiedni model?

– Trzydzieści. Zorganizuj skrynkę pocztową w Krakowie. A stamtąd normalna poczta do nas.

– Zrobione. Pozostaje dostawca.

Stałem na szczycie najwyższego wieżowca w Warszawie i wciąż oglądałem demona na szczycie wieży Silver Hulk. Co on tam robi? Siedzi, wstaje, wraca, znowu siada... Co można robić o tej porze w

pracy? Dlaczego te diabły to takie pracoholiczne istoty?

Dlaczego Marvin się tak grzebie?

– Marvin?

– Nie mogę dokonać transakcji, proszę pana.

– Dlaczego?

– Mój rozmówca... odkrył, że jestem sztuczną inteligencją.

– Jak?! Przeszedłeś test Turinga!

– Nie wiem. Prosi o człowieka albo transakcja nie dojdzie do skutku.

Darknet jest niebezpieczny. Nie wejdiesz tam, używając po prostu przeglądarki. Nie ma gwarancji, że wykorzystane tam programy i funkcjonujące strony są wolne od złośliwości, o jakich normalnym stronom się nie śniło... Wchodzisz w darknet – wchodzisz w cień. Cholera, może się wycofać?

Wyłączyłem whirl i powoli z niego wyszedłem. Trochę zeszywniały mi kolana. Raczej nie z powodu przeciągów.

– On... się niecierpliwi, proszę pana – rzekł Marvin.

Miałem wrażenie, że słyszę drżenie w jego głosie.

– Wrzuć stronę na główny ekran.

Naprzeciwko dużego fotela, w którym lubię pić herbatę, rozjarzyła się czarna, trójwymiarowa witryna internetowa. W pustce migotały białe litery:

> Why do'ya wanna buy the shit?⁶

Przyszło mi do głowy, że robot mógł wejść na prowokacyjną stronę rosyjskiej policji. Jeśli teraz przyznam się do swoich zamiarów, zgłoszą mnie naszym i po wszystkim. Psiakość, to był błąd. Wyciągnąłem rękę do znacznika zamknięcia strony wiszącego w powietrzu po mojej prawej i „kliknąłem”, ale nic się nie stało.

> Escape you want, ah? Not gonna happen, friend. Why the shit?⁷

> Why asking?⁸ – odpisałem.

Nagle sześcian po prawej stronie rozwinął się i ujrzałem kilka

6 Dlaczego chcesz kupić ten towar?

7 Chcesz zwać, co? Nic z tego, przyjacielu. Po co ci ten towar?

8 Dlaczego pytasz?

modeli kamer.

> Anarchist are'ya?⁹

> Sort of¹⁰ – odpisałem.

> Who's ass gona be kicked?¹¹

Odczekałem pięć uderzeń serca.

> CEO's¹².

> Hah! I like it! Take Corsair. The best¹³.

Miniatura kamery przypominającej trójrogi piracki kapelusz na pajęczych nóżkach powiększyła się i zaczęła rotować pół metra przede mną.

> Why that one?¹⁴ – spytałem.

> Most reliable. And most expensive¹⁵.

> How much?¹⁶

> Fifty dollars a piece¹⁷.

Sporo jak na obiekt nie większy od komarzej główki.

> That will be 1 500 \$ for 30¹⁸ – odpisałem.

> That's right. Plus transport, which is 1 000¹⁹.

Zatkało mnie. Chciałem napisać „How much?“, ale się powstrzymałem.

> 50 pieces then²⁰.

> My pleasure²¹.

> How do you know I am not AI?²²

Przez chwilę nic się nie działo. Wreszcie pojawił się napis:

9 Jesteś anarchistą?

10 Coś w tym stylu.

11 Czyj tyłek skopiesz?

12 Prezesa.

13 To mi się podoba! Weź Korsarza. Jest najlepszy.

14 Dlaczego ten?

15 Najbardziej godny zaufania. I najdroższy.

16 Ile?

17 Pięćdziesiąt dolarów za sztukę.

18 To będzie 1500 \$ za 30 sztuk.

19 Zgadza się. Plus transport, który kosztuje 1000 \$.

20 Więc 50 sztuk.

21 Przyjemność po mojej stronie.

22 Skąd wiesz, że nie jestem sztuczną inteligencją?

> I see you²³.

Zmroziło mnie. Zerknąłem na Marvina. Ten uniósł ramiona w geście bezradności.

Nie wiem, jak to zrobił, proszę pana. Ma pan bardzo dobre zabezpieczenia – zobaczyłem napis przed oczami.

> Nice condo you have over there. And it certainly ain't US of A²⁴.

> Nice try. It's done then?²⁵

> No. You have to pay. No digital traces. Pure cash²⁶.

Wziąłem głębszy wdech.

> How?²⁷

> Put it there²⁸.

Nagle stronę wypełniła trójwymiarowa mapa Warszawy. Cholera! Czerwona strzałka wskazywała kosz na śmieci przy Marszałkowskiej, niedaleko Round Spire.

> Tomorrow at 15.30. Not earlier, not later, in a „Głos Warszawy” newspaper. Dollars, my friend²⁹.

> What's my guarantee?³⁰

> What do you mean?³¹

> That I'll get my stuff and you won't kill me?³²

Zamiast odpowiedzi otrzymałem emotikon:

> 😊

A potem:

> No offence, my friend, but you are nobody³³.

23 Widzę cię.

24 Masz całkiem ładne mieszkanie. I z pewnością nie jest to USA.

25 Dobra dedukcja. Więc załatwione?

26 Nie. Musisz zapłacić. Żadnych cyfrowych śladów. Czysta gotówka.

27 Jak?

28 Wrzucić ją tutaj.

29 Jutro o 15.30. Nie wcześniej, nie później. W gazecie „Głos Warszawy”.
Dolary, przyjacielu.

30 Jaką mam gwarancję?

31 Co masz na myśli?

32 Że dostanę towar i mnie nie zabijecie?

33 Bez obrazy, przyjacielu, ale jesteś nikim.

> And you are?³⁴

> I am my boss'es AI³⁵.

W tym momencie strona zgasła, a mnie oblała fala zimna. Czy przypadkiem nie wdepnąłem w straszne gówno? Jacyś rosyjscy gangsterzy wiedzą, gdzie mieszkam i jak wyglądam, więc lada moment mogą sobie jakby nigdy nic przyjechać i przejąć mój apartament, a mnie... Nie, nie, nie, to nie takie proste. Nie panikuj, Rod.

– Marvin – chrypnąłem – masz ten kosz na śmieci?

– Oczywiście, proszę pana.

– Każ mojemu bankowi wypłacić trzy tysiące pięćset dolarów i dostarczyć tutaj banknoty.

– Oczywiście. Myślę, że powinien pan odpocząć.

– Jak zwykle, przyjacielu, masz rację.

Operacja wrzucenia pieniędzy do kosza na śmieci była prosta i nie warto o niej wspominać poza tym może, że czułem się jak idiota, trzecioplanowy dupek z podrzędnego filmu, który zaraz po dostarczeniu pieniędzy ginie w ciemnym zaułku, nikt go nie żałuje i nikt nie pamięta jego twarzy.

Wypada natomiast zaznaczyć, że wieczorem tego samego dnia przyszła do mnie paczka z Krakowa. I były w niej kamery. Gdy patrzyłem na nie, ułożone w minislotach niewielkiej walizeczki, i na kryształ zawierający ich oprogramowanie, zaczęło do mnie docierać, że właśnie wykonałem krok na bardzo niebezpiecznej ścieżce. Co ja właściwie robię? Czy naprawdę zamierzam... czy zamierzam... no właśnie, co ja właściwie zamierzam? Odpowiedź, na pierwszy rzut oka oczywista, była tak niepokojąca, że wciąż skrywał ją jakiś całun. Miałem wrażenie, że to, co jest za nim, przypomina moją trumnę...

Uznawszy, że wizje te są zbyt jątrzące, poprosiłem Marvina o znalezienie w sieci rękawiczek do zdejmowania facenetu³⁶.

34 A ty jesteś?

35 Jestem sztuczną inteligencją mojego szefa.

36 Facenet jest niewidzialną nanosiatką, którą każdy cywilizowany człowiek

Dlaczego były potrzebne? Ofiara... mój Boże, czy ja naprawdę zamierzam to zrobić? Potrząsnąłem głową i chrząknąłem. Przetarłem twarz ręką. Zatem... ofiara może szybko wezwać pomoc, oczywiście używając facenetu i mowy subwokalnej³⁷. Trzeba więc zerwać i zniszczyć facenet – porwać, wyrzucić do sedesu, you name it. Ale nie da się tak po prostu zdjąć tej siatki z twarzy człowieka. Potrzebne jest specjalne urządzenie, indywidualna kształtka, którą każdy trzyma w łazience, a jeśli gdzieś wyjeżdża – zabiera w podróż. Zdjęcie komuś facenetu bez pozwolenia jest praktycznie niemożliwe. Rękawice, o których dotąd tylko słyszałem, wytwarzają specjalne pole, dzięki któremu nanonici zrywają kontakt ze skórą właściciela, przestają być „lepkie” i zachowują się jak bezwładna pajęczyna.

Marvin po upływie kilku sekund znalazł je. I zgadnijcie gdzie. Na tej samej paskudnej darknetowej stronie. Zaopatrywanie się w tym samym miejscu było z jednej strony niebezpieczne, z drugiej – wręcz przeciwnie, o ile tylko nie była trefna.

Rękawiczki kosztowały kolejne dwa tysiące, oczywiście bez gwarancji i serwisu.

Przyszły następnego dnia, po uiszczeniu opłaty, oczywiście.

Przetestowałem je na własnym facencie. Zdarły go bez najmniejszych problemów, ale nie uszkodziły.

Zakładając z powrotem siatkę na twarz (było z tym trochę problemów, bo najpierw musiałem ją nałożyć na kształtkę i zresetować), zdałem sobie sprawę, że nie mogę podczas akcji świecić własną głową. Poleciłem Marvinowi znaleźć w sieci również wszelkie porady dotyczące tego, jak przeprogramować

nakłada na twarz tuż po porannej toalecie. Facenet umożliwia mowę subwokalną, zbiera informacje o stanie zdrowotnym i energetycznym człowieka, stanowi także jego „radiowy kod kreskowy”, dzięki któremu właściciel facenetu jest rozpoznawany przez jego urządzenia.

37 Mowa subwokalna to bezgłośnie mówienie. Podczas tego procesu mózg wysyła sygnały do mięśni artykulacyjnych, ale używający tej formy komunikacji człowiek je powstrzymuje. Czujnik elektromiograficzny umieszczony w każdym facencie przechwytuje te impulsy i zamienia na słowa. Mowa subwokalna nazywana jest także technotelepatią, w skrócie „titem”.

facenet. Siatka ma wmontowaną funkcję holomasku, używaną przez większość kobiet jako makijaż. Można dzięki niej zmienić nieco rysy twarzy, rozświetlić ją lub przyciemnić, ale tylko do pewnego stopnia. Ja chciałem wyglądać jak... ktokolwiek – człowiek o rysach grubszych, wydatniejszej szczęce, mocniejszych wąłach brwiowych, szczuplejszych policzkach, większym nosie i tak dalej. Moja gęba jest, generalnie rzecz biorąc – wiem, zabrzmiało to marnie – przystojna. Tak mówiły wszystkie moje kobiety. Porównywały mnie do aktorów starego kina. Paula Hogana, Clinta Eastwooda i kilku innych. Różnię się od nich wzrostem, i to znacznie (mam sto siedemdziesiąt centymetrów, w podrygach), ale ogólnie całkiem niezły ze mnie...

– Proszę pana, telefon do pana.

– Kto?

– Pani Alicja.

O, właśnie.

– Odbierz.

– Roddy?

Z ekranu spojrzała na mnie blondynka, czy w zasadzie blondynka, bo na jej włosach poza niebieskim było wszystko, z przewagą koloru pszenicy i ciemnego piwa. Alicja była ekscentryczna. I nic w tym dziwnego. Pracowała w firmie reklamowej Your'n'Mine jako copywriterka, czyli wykonywała jeden z najbardziej znienawidzonych przeze mnie zawodów. No, ale rok temu uczestniczyła w czterodniowym treningu z twórczego myślenia autorstwa wiadomo kogo. Łatwo zdobywa się kobiety, będąc trenerem, believe me.

– Tak, słonko?

Uśmiechnęła się promiennie. Miała równe, ciasno ustawione, bardzo białe zęby.

– Co u ciebie?

– Próbuję... odpoczywać.

– Po szkoleniach?

– Tak. Miałem treningi do końca czerwca.

– Jesteś w Warszawie?

– Pewnie.

- Nigdzie nie wyjeżdżasz?
 - Nie. Najlepiej odpoczywam w domu. Czytam, oglądam ulubione filmy...
 - Nie nudzisz się?
- Uśmiechnąłem się. Czekał mnie miły wieczór.

Seks z Alicją nigdy nie jest taki sam, skądinąd według moich obserwacji czynność ta ma w sobie coś z nieskończoności – niby wciąż to samo, a jednak za każdym razem inaczej. To magia, mówię wam. Alicja ma prawie same zalety: jest wesoła, młoda, ładna, inteligentna, nie zanadto ambitna (ambitne kobiety to koszmar dla mężczyzny, podobnie zresztą jak ambitni mężczyźni dla kobiet), ale, niestety, ma też jedną wadę: nie widzi. Dla niej świat jest... „normalny”. Trudno się dziwić tej postawie, skoro pracuje w branży, która, niczym kolorowa podnawka, żywi się krwią wielkiego rekina, jakim jest system finansowy planety. Po co są reklamy? Żeby ludzie wiedzieli, co kupić. Czy są potrzebne? Dają jej pracę. Dlaczego wszystko się psuje? Żeby firmy mogły zarobić. Na wszystko ma krótkie i całkowicie spójne odpowiedzi. Dlatego właśnie nigdy nie myślałem o niej poważnie, a ona, wiedziona jakimś cudownym kobiecym zmysłem, także chyba nie. No i odkąd kilka razy odbiłem się od jej niezłomnej, prostej logiki, przestałem poruszać ten temat.

Za to, gdy stojąc do mnie tyłem, całkiem naga, poprawiała coś w makijażu holomasku, zapytałem o coś innego:

- Al, czy holomask można modyfikować?

Obróciła się do mnie bokiem, prezentując doskonałą krzywiznę pupy i płaski brzuch.

- Chciałbyś się upiększyć?

- Mama pytała.

- Twoja matka?! A co u niej słychać? I u kochanego tatusia?

- Dzięki Bogu nie dzwoni od jakiegoś czasu.

Roześmiała się. Uwielbiałem patrzeć, jak pręży mięśnie brzucha.

- No to uważaj, niedługo zadzwoni. I pewnie będzie biadoliła na temat twojego brata.

- Anyway, wiesz coś o tym?
 - O modyfikacji holomasku?
 - Tak.
 - Głuptasie, każda kobieta wie. Tak naprawdę nie masz pojęcia, jak rzeczywiście wyglądam.
- Wybałuszyłem oczy.
- Żartowałam. - Znowu się roześmiała. - Ale bez holomasku ci się nie pokażę.
 - Dobrze, gołąbeczku, ale odpowiedz mi wreszcie.
 - Przesłałam ci na facenet numer.
- Istotnie, w moim polu widzenia pojawiła się ikona wiadomości tekstowej. Alicja musiała ją przetitować.
- Co to za numer?
 - Kobiety, która przekaże ci instrukcje. Anonimowo i bezpiecznie. Oczywiście po tej operacji stracisz gwarancję, ale kto by się tym przejmował.

Zajął sikiwarkę, kalendarz, poradnik osobisty, trenera, zrobi zakupy, naprawi, przerobi i przeprogramuje co trzeba. Teraz na każdej stronie istnieją instrukcje dla dronów. Wystarczy, że te je sobie wgrają i od razu nabywają nowe umiejętności. Marvin uczył się szybko i bez przerwy. Chwilami mnie to przerażało. Rzecz jasna, powiadomił mnie, że facenet uprzedza, iż wprowadzone modyfikacje oprogramowania unieważnią gwarancję, ale o tym już wiedziałem.

Założyłem siatkę po tuningu i wszedłem w jej menu, które jak zwykle wyświetliło się bezpośrednio na moich siatkówkach. Wybrałem opcję holomasku i zobaczyłem nową podkategorię: „Totalne modyfikacje”. Symulacje pokazały, że teraz mogę wyglądać... głównie piękniej - z dłuższymi rzęsami, pełniejszymi wargami (fuj!) i tak dalej. Ale interfejs umożliwił w zasadzie dowolne przeobrażenia, więc po chwili wiedziałem już, że mogę wyglądać, jak tylko zechcę: grubo, chudo, niesymetrycznie, groteskowo. Nie było jedynie opcji zarostu, ale to zrozumiałe. Wybrałem gębę o masywnej szczęce i krzaczastych brwiach

ocieniających czarne oczy (moje są szaroniebieskie). Przeciągnąłem palcem po czole (to gest uruchamiający holomask) i podszedłem do lustra... by ze strachem odskoczyć. Naprawdę wyglądałem jak oprych!

– Marvin? – Odwróciłem się do majordomusa.

– Jeśli mogę tak powiedzieć, wygląda pan przerażająco.

– Sprawdź, czy możesz mi zrobić skan tęczyówek.

– Nie, proszę pana. Holomask blokuje taką możliwość.

– Fantastycznie.

Przeciągnąłem palcem po czole w przeciwnym kierunku.

– Witam z powrotem, panie Rodney – przywitał mnie robot.

W dzisiejszych czasach wszędzie są kamery. Wszędzie. Na szczęście mają jedną wadę – umieszcza się je dość wysoko, więc szerokie rondo kapelusza uniemożliwia zarejestrowanie przez nie twarzy. Potrzebowałem zatem kapelusza, oczywiście z materiału potrafiącego zmieniać kolor. Syntetyczna bawełna jest dostępna wszędzie, więc jeśli pozostawię jej włókna na miejscu... hm... zbrodni, policja niczego ciekawego nie odkryje. Ale... zostawię DNA. Cholera, dopiero teraz to do mnie dotarło. Przecież będę oddychał, pewnie mówił, a to miliardy kropel! Muszę zdobyć substancję niszczącą kwas dezoksyrybonukleinowy!

– Marvin!

Dron oczywiście znalazł odpowiedni spray, nielegalny. I zgadnijcie gdzie. Skoro miałem się pogrążyć na całego, zaryzykowałem i tym razem. Wrzuciwszy do wiadomego kosza na śmieci tysiąc dolarów, stałem się posiadaczem dwóch zasobników z aerozolem Blackspray. Dostawca zapewniał, że jest w stu procentach skuteczny. Nie bardzo chciało mi się w to wierzyć, ale w końcu rozmawiałem z AI kryminalisty...

Przez tych kilka dni intensywnie trenowałem z fantomem. Fantom to holoanimacja przedstawiająca przeciwnika, którego wzrost i szybkość możesz dowolnie regulować. Do takich ćwiczeń wkłada się specjalny kombinezon, dzięki któremu

czujesz, gdzie i kiedy zostałeś trafiony. Te treningi są zupełnie czymś innym niż kata wan-chi czy kumite z Witkiem Kerem z Białegostoku, moim byłym senseiem. Kata nie przygotowują do realnej walki, podobnie jak sparingi w dojo. Tylko fantom daje poczucie realnego starcia, dlatego zmodyfikowałem część technik, które wchłonałem podczas zajęć w „O’Gi”. W trakcie tych starć z satysfakcją skonstatowałem, że wciąż jestem w bardzo dobrej formie (w sumie nic dziwnego, skoro ćwiczę systematycznie od dwudziestu lat), ale... nie zmieniało to faktu, że mam sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Kielbasa ma prawie metr dziewięćdziesiąt i uprawiał kiedyś boks. Jest ode mnie niemal dwukrotnie cięższy. Jeśli popełnię błąd, zgniecie mnie jak pędzaka. Widziałem wiele walk Dawidów z Goliatami i nie przebiegały dobrze dla tych mniejszych. Przydałby się jakiś pancerz albo coś, co zwiększyłoby moją siłę...

Jak umieścić w biurze dyrektora mikrokamery? Do typowego biurowca zwykły człowiek nie wejdzie, bo zatrzymają go ochroniarz i recepcjonistka. Żeby dostać się do środka, musisz tam pracować albo mieć status gościa, czyli ktoś musi cię zaprosić. Teoretycznie mogłem umówić się na rozmowę o szkoleniach z którąś z rezydujących w Silver Hulk firm, ale praktycznie było to mało prawdopodobne. Nawet trenerowi z moją reputacją trudno pozyskać nowego klienta, poza tym był lipiec. To martwy sezon w szkoleniach, a jeśli jakaś firma planowała je na jesień, już miała zakontraktowane zarówno tematy i hotele, jak trenerów. Zatem to odpadało. Dotknąć takiego gościa, gdy się udaje do pracy bądź z niej wraca, się nie da, bo parkuje swojego Bentleya MSX Firehog w podziemnym garażu. Ale... stołuje się przeważnie w mieście. To najślabsze ogniwo w jego codziennym harmonogramie. Po kilku dniach obserwacji wiedziałem, że na obiady chodzi około czternastej, najczęściej do tego samego lokalu mieszczącego się po drugiej stronie Alei Jerozolimskich. Me Gusta, włoska restauracja, cieszyła się w snobistycznych kręgach wielką estymą i wysokim, dosłownie, standardem, bo znajdowała się na trzydziestym

piętrze De Gaulle Spire.

Jeśli chcesz wejść do tej knajpy, musisz mieć krawat. Nie ma wyboru. Krawat i modne buty.

Nie było rady – zaopatrzyłem się w obuwie marki La Rouge z obowiązkowymi różowymi noskami, bo takie latem dwa tysiące czterdziestego siódmego roku były modne. Kosztowały dwa tysiące pięćset euro i nie powiem, bardzo mnie ta cena zaboląła. Nie zarabiam mało, ale nie lubię zbyt wysokich, zwłaszcza „modnych”, bo moda to nic innego jak bezmyślne małpowanie tego, co kilku cudaków w danym sezonie uzna za trend. Słowem, szczyt głupoty. Stwierdziłem jednak, że w gorszych butach ochroniarze knajpy mnie po prostu nie wpuszczą. To był drogi, highlife’owy lokal odsiewający ziarno od plew. Ja bez wątplenia byłem plewą, otrębem, kąkolem i chabrem w jednym.

Udałem się do Me Gusta osiemnastego lipca. Byłem w szarych garniturowych spodniach od Henry’ego Rotha, wspomnianych butach oraz wiśniowym krawacie Yamakiego, oczy zaś osłoniłem doskonałymi podróbkami Roverów Youngblood, bo szlag mnie trafił, gdy na stronie „Your Eyes” zobaczyłem, że kosztują sześć tysięcy. Sześć tysięcy za trójwymiarowe logo „Y” w rogu szkielec? Jeszcze nie zwariowałem.

Ochroniarze wpuścili mnie, wyczuwszy perfumy Stone Gucciego i zlustrowawszy różowe noski moich butów. Dziękuję bardzo. Zrozumiałem, że jeśli będę chciał tu wejść drugi czy trzeci raz, będę musiał zainwestować jeszcze w co najmniej dwie koszule i trzy krawaty. Jasna cholera. Kosztowna ta droga mściciela.

Usiadłem w takim miejscu różowej sali (róż był w tym sezonie modny), żeby mieć większość lokalu na oku. Osłaniały mnie tropikalne rośliny, a kolumny po obu stronach stolika skutecznie zakrywały przed ciekawskimi z boku, więc czułem się w miarę bezpiecznie. W kilku miejscach siedziało kilkunastu gości, z ubioru wnosząc, firmowych rekinów tudzież piranii. Królowały garnitury, garsonki, połyskliwe buty, biżuteria oraz najnowsze modele padów. Wspomniawszy swojego staruszka firmy Sony, nie wyjmowałem go z futerału.

Gdy podszedł kelner, zamówiłem deser: tiramisu oraz zieloną herbatę. Ceny były iście galaktyczne. Ciastko za dwadzieścia pięć i herbata za dziesięć euro, chociaż w fikuśnym czajniczku ozdobionym wieńcem kolorowych, animowanych szlaczków? Razem trzydzieści pięć euro?! Trochę skandal, z drugiej strony – jaka gruba ryba zatopiłaby zęby w wypieku za mniej niż dwadzieścia?

Nie zjadłem połowy ciastka, które z racji ceny z trudem torowało sobie drogę przez przełyk, gdy zjawił się Kiełbasa. Wszedł zamaszystym krokiem w towarzystwie niskiego, czarnowłosego mężczyzny wyglądającego na Włocha, oczywiście otyłego, bo w naszym świecie mało kto trzyma formę. Hubert miał lekką nadwagę, bo pewnie brał Fatstop, a Włochowi się nie chciało. Usiedli blisko okna, na szczęście w takim miejscu, że dobrze ich widziałem między liśćmi pobliskiej palmy. Miałem przy sobie trzech korsarzy, ale brakowało mi doświadczenia w ich rzucaniu czy podkładaniu i ogólnie to bardzo małe i raczej niewygodne w obsłudze stworzonka. Nie to, że łatwo je zgnieść. Jest odwrotnie – są niemal tak twarde jak ziarenka piasku i taką formę przyjmują na czas rzutu, więc nie ma tutaj problemu. Ale... ciśnij ziarnkiem piasku do celu. Bałem się, że gdy podejść do nich i coś spieprzę, spalę się i zepsuję całą akcję. Stwierdziwszy, że nie wiem, czy się zdecyduję, zacząłem po prostu obserwować mężczyzn, wkładając do ust małe kawałki słodkiego nieba. Włoch przymilnie się uśmiechał, błyskał złotym sygnetem na serdecznym palcu pulchnej prawej dłoni i żywo gestykulował, więc te błyski złota stały się niejako jego aurą, świetlistą otoczką. Kiełbasa przytakiwał, zaciskał usta i mrużył oczy. Wyglądał jak ktoś specjalnie zachowujący dystans, utrzymujący rozmówcę w napięciu, by nie poczuł się zbyt swobodnie. Włoch udawał, że tego nie zauważa, i starał się pozyskać przychyłność interlokutora. Rozejrzałem się za kamerami lokalu. Były w dwóch rogach, tuż przy oknach, ale ich spojrzenie nie wszędzie docierało, bo w Me Gusta było bardzo dużo roślin i kolumn. Będę musiał podejść do dyskutantów, gdy kamery będą zwrócone na zewnątrz... Nie. Poruszają się asynchronicznie – gdy jedna patrzy

w głąb, druga obserwuje środek, gdy zaś pierwsza patrzy w środek, druga spogląda wzdłuż okien – zatem moment, w którym nie będzie mnie widziała ani jedna, ani druga kamera, jeśli w ogóle istnieje, będzie bardzo krótki... Muszę się trochę schować za tamtą roślinę. Co to jest? Rododendron? I wykorzystać fakt, że za nią znajduje się kolumna. To mi da sekundę więcej...

Zerknąłem do portfela i wyciągnąłem trzech korsarzy. Jednego ułożyłem na opuszcze palca wskazującego, drugiego na środkowym, a trzeciego na serdecznym. Wstałem i ruszyłem między stolikami, jakbym szukał toalety. Nie myślałem o tym, co robię, po prostu rozpocząłem proces, sekwencję zdarzeń. Zanurzyłem się w nich jak pływak w wodzie. Dobrze wyliczyłem, ile czasu zajmie mi dotarcie na miejsce, bo kamery akurat się rozjeżdżały. Strzeliłem kciukiem w sufit. Trafiłem – korsarz przyczepił się do płaszczyzny. Strzeliłem drugi raz. Trafiłem w błękitną marynarkę Włocha. Trzeci strzał był najtrudniejszy, bo Kiełbasa, odziany w żółty garnitur, siedział po drugiej stronie stołu. Wstrzymałem się, zrobiłem jeszcze krok i niby wciąż się rozglądając, obejrzałem się za siebie. Strzepnąłem kciukiem kamerę z palca serdecznego i, zdaje się, że także trafiłem, bo na marynarce pana dyrektora pojawiła się mała cętka. Wszedłem do toalety. W kabinie otworzyłem menu kamer. Tak! Trafiłem! Co teraz? Nie mam wprawy w zawiadywaniu tymi paskudztwami... Korsarz, którego wystrzeliłem w sufit, od razu powędrował do zarysowania na tynku i wczepił w nie swoje odnóża. Zobaczyłem przed sobą półprzezierny dżojstik. „Chwyciłem” go i delikatnie pociągnąłem. Oko kamery zwróciło się na rozmówców. Doskonale.

– Marvin? – szepnąłem, wybrawszy numer majordomusa.

– Tak, proszę pana?

– Nagrywaj wszystko, co zarejestrują te trzy kamery.

– Oczywiście, proszę pana.

Rozłączyłem się. Wybrałem okno kamery, która przyczepiła się do marynarki Kiełbasy. Chwyciłem dżojstik i zgodnie z instrukcją obsługi lekko przesunąłem go do przodu. Nie wychyliłem, bo wychylenie powoduje obrót. Przesunięcie manetki wprawia

korsarza w ruch. Urządzonko żwawo zaczęło piąć się wyżej... Zaraz, dlaczego wyżej? Lepiej do przodu, na guzik. Może uda się potem przeskoczyć na biurko. Miałbym wtedy podgląd jego gabinetu... Pająk pomknął po wydmie materiału, aż zobaczyłem olbrzymi guz z kości słoniowej. Nakazałem urzędzeniu skoczyć i przyłgnąć do jedwabnych nici. Doskonale. Teraz kamera na marynarce Włocha. Ta wylądowała na plecach. Przed nami długa wędrówka w górę ubrania... teraz pod kołnierz... i do przodu. Zupełnie jak surfer pod granatową falą... Stop. Nie za daleko. I widzę twarz Kiełbasy. Mam podgląd z góry, z punktu widzenia Włocha, a dzięki kamerze umieszczonej na guziku dyra widzę także grubaska.

O czym oni gadają?

– ...yrektorze, pozwoli pan, że zreasumuję pańskie główne potrzeby: bezpieczeństwo i dyskrecja. Czy coś mi umknęło? – spytał Włoch.

Kiełbasa powoli kiwnął wielką, siwą głową.

– Tak, umknęło panu: gwarancja. Gwarancja bezpieczeństwa.

– Ach – uśmiechnął się mężczyzna w niebieskiej marynarce – to są dla mnie tak oczywiste sprawy, że nie czułem się w obowiązku o tym zapewniać.

– No to niech pan zapewni. Poza tym – Kiełbasa podrapał się w szyję – nie jestem przekonany, czy tego potrzebuję. To jakieś takie... wydumane.

Włoch błysnął zębami, a zaraz potem sygnetem.

– Panie dyrektorze, niech pan tego źle nie odbierze, ale pańska znakomita osoba figuruje na liście „Black Thousand” europejskiego portalu People Power...

Kiełbasa wygiął usta w podkowę.

– „Black Thousand”? Nigdy nie słyszałem.

– No cóż, to lewacki organ. Jest pan znany. Chodzi o pański specyficzny stosunek do podwładnych i biznesu...

– Co pan insynuuje? – Dyrektor spojrzał ostro.

– Ależ nie ja, tylko ten portal. No cóż, w dzisiejszych czasach ludzie twardzi i bezkompromisowi nie są zbyt popularni...

– Nigdy nie przejmowałem się zdaniem motłochu.

– Bardzo słusznie, bardzo słusznie, panie dyrektorze, chodzi tylko o to, że niepokoje społeczne się nasilają. Rozwarstwienie ekonomiczne nigdy jeszcze nie było tak wielkie.

Kiełbasa wzruszył ramionami.

– Żyjemy w wolnym świecie. Jak ktoś chce mieć, niech zakasze rękawy i weźmie się do roboty. Do wszystkiego w swoim życiu doszedłem sam i, niech pan nie odbierze tego osobiście, uważam się za lepszego od śmieci, którym nie wychodzi. Gdyby mieli odpowiednie geny, wyszłoby im.

– Ależ tak, dzielam pańskie zdanie i nie ma w tym względzie żadnych „ale”, jednak zmierzam do tego, że nie przypadkiem ludzie tacy jak pan żyją na chronionych osiedlach, jak Raj, w którym mieszka pańska rodzina.

– To bardzo dobre osiedle.

– Tak, wysoki mur, strażnicy, drony. Wszystko jest w porządku, ale nie uwzględniono w nim opcji oblężenia...

– No i tutaj właśnie, panie Salamanca, jest zgrzyt w pańskiej ofercie. Oblężenie? – Kiełbasa prychnął. – Nie żyjemy w średniowieczu!

Włoch roześmiał się astmatycznie.

– To вина nieadekwatnego określenia. Oczywiście nie chodzi o „oblężenie” znane z filmów historycznych, lecz o jego nowoczesną formę. W roku czterdziestym siódmym doskonale strzeżone osiedle Blue Waters na Florydzie, gdzie mieszkał między innymi Freddie Shultz...

– Ten reżyser?

– Ten sam. Jego osiedle zostało poddane oblężeniu i, niestety, nie przetrwało go...

Dyrektor niespokojnie się poruszył.

– Co pan mówi?

– No, nie było tego w mediach, jednak moja firma ma dostęp do odpowiednich źródeł.

– Ale co się tam stało?

– To była doskonale zaplanowana akcja. Wystarczyło sto pięćdziesiąt osób, aby sterroryzować mieszkańców, wynieść cenne przedmioty i zniszczyć mienie warte trzy miliardy

dolarów.

– Rany boskie...

– Właśnie.

– Ale jak to zrobili?

– Katapulty, którymi przerzucili się przez mur...

Dyrektor Finance International wychylił się do przodu.

– Że jak?

– Mieli też mikrospadochrony, ogłuszacze, paralizatory, niewielkie ładunki wybuchowe, którymi rozwalili bramę wjazdową, kilka ciężarówek na kradzione przedmioty oraz pięćdziesiąt robotów, które zajęły się dronami strażniczymi. Po dwudziestu minutach wszystko było zrównane z ziemią, mieszkańcy pozamykani w podziemnych bunkrach, ochrona spacyfikowana, a mienie na ciężarówkach.

– A posiłki? Przecież musieli uruchomić alarmy i na pewno przyjechały...

– Jechało kilkanaście wozów ochroniarzy, lecz zanim dotarły na miejsce, natknęły się na miny EMP. Pojazdy zostały zniszczone, a lewacy uciekli.

– Niewiarygodne – sapnął Kiełbasa, kręcąc głową.

– Po tym wypadku moja firma zainstalowała tam trzy systemy Mirage House.

– Tylko trzy? Niedużo.

Włoch uśmiechnął się drapieżnie.

– W dalszej części rozmowy wyjaśnię, dlaczego tylko tyle.

– Ale jak jeden animowany hover³⁸ i system złudzeń mają ochronić mój dom i rodzinę?

– Taak... – Włoch cmoknął i ledwie zauważalnie pokręcił głową, jakby mówił sam do siebie: „Ile razy muszę tłumaczyć temu debilowi oczywistości?”. – Pan nigdy nie widział oblężenia, więc oczywiste jest, że uciekają panu pewne niuanse, a to w szczegółach kryje się diabeł, nieprawdaż? W oblężeniu liczy się szybkość. Napastnicy mają bardzo mało czasu. Jeśli się zorientują, że w domu pomontowane są automaty iluzyjne, jeśli

38 Luksusowa odmiana latającego samochodu, który dzięki wysuwającym wirnikom oraz płatom nośnym jest zdolny do pionowego startu i lądowania.

potkną się dwa razy o przeszkody, których nie widzieli, jeśli rozkwasać sobie nos o ścianę, bo myśleli, że jej nie ma, a dodatkowo ujrzą, jak nad dachem rezydencji unosi się hover z przyczepą, zrezygnują z obrabiania domu, bo zrozumieją, że nic już w nim, oprócz przykrych pułapek, nie ma.

– Ale wciąż mogą go wysadzić...

– Czy to kluczowa dla pana kwestia?

– Raczej tak.

– I gdybym rozwiązał pańskie wątpliwości, byłby pan skłonny rozważyć zakup naszej usługi?

Kiełbasa spojrzał ostro.

– Panie, takich technik to u nas uczą na pierwszym kursie sprzedaży. Niech pan uważa na słowa.

Włoch zachnął się i błysnął sygnetem.

– Proszę mi wybaczyć, zboczenie zawodowe, stary nawyk, którego trudno się pozbyć. – Uśmiechnął się przepraszająco. – Bardzo proszę, niech pan się ze mną zgodzi: gdybyśmy odsunęli na bok fakt, że zastosowałem dość marny, niegodny zupełnie chwyt negocjacyjny, gdybyśmy o tym zapomnieli... Czy możemy o tym zapomnieć?

Kiełbasa uśmiechnął się z trudem.

– Postaram się.

Salamanca rozpromienił się.

– Bardzo dziękuję! Zatem spróbujmy ująć to tak: Gdybym zapewnił pana, że Mirage House ochroni pańską siedzibę także przed wysadzeniem, czy byłby pan skłonny nabyć naszą usługę?

– Być może, panie Salamanca – odparł dyrektor, pociągając łyk kawy.

– Nasze detektory wyczuwają ładunki wybuchowe w promieniu pięćdziesięciu metrów, a jest ich pięć: jeden w domostwie i cztery w rogach ogrodu. Wyczuwszy zaś, wyłączają ich tronikę słabymi impulsami EMP.

– To nie spali mi urządzeń?

– Nie, co najwyżej je zresetuje, a to nie jest groźne, prawda?

Kiełbasa westchnął i uniósł brwi.

– Nie jest.

– Poza tym lepiej mieć zresetowany odbiornik holowizji niż zrównany z ziemią dom, nieprawdaż?

– Prawda. Mógłbym to zobaczyć na jakimś nagraniu?

– Ależ tak.

Włoch wyciągnął z kieszeni marynarki pad i uruchomił nad nim trójwymiarowy film. Przedstawiał człowieka rzucającego w stronę domu jakiś przedmiot, który po chwili wybuchł.

– To standardowe zachowanie ładunku wybuchowego – skomentował Salamanca. – A to efekt działania naszego systemu.

Film ożył. Tym razem człowiek rzucił granatem w inny dom. I nic się nie stało. Metalowa kula odbiła się od ściany i spoczęła w trawie.

– Rzecz jasna mamy do czynienia z niewybuchem i potrzebna będzie ekipa saperów, ale i to zapewniamy w cenie pakietu.

– Wygląda przekonująco...

– To działa. Niech pan zwróci uwagę na zniszczenia, których dokonał granat w pierwszym budynku. – Włoch zrobił najazd na wybite okno i rozwalony kawałek muru.

– Rzeczywiście...

– Hmm – obcokrajowiec potarł ręką podbródek – mam wrażenie, że zatoczyliśmy typowe koło w rozmowie sprzedażowej.

Kiełbasa uśmiechnął się.

– Skoro pan tak mówi.

– Już w zasadzie kończyliśmy, zapytałem o pańskie potrzeby i okazało się, że ma pan wątpliwości, które uważane są za jeden z klasycznych oporów. Upewniłem się, co to za wątpliwości, wszystko raz jeszcze wyjaśniłem i przedstawiłem dowód, który pana przekonał. Myślę – uśmiechnął się drapieżnie – że podjął już pan decyzję i chociaż to ja potarłem podbródek, a obaj wiemy, że gest ten oznacza zdecydowanie, jest pan gotów na współpracę.

Kiełbasa wziął głębszy wdech. Już otwierał usta, ale zamknął je i po chwili rzucił:

– A ten hover z przyczepą to także iluzja, prawda?

– Stuprocentowa, ale w zasadzie nie do odróżnienia od rzeczywistego pojazdu, chyba że ktoś miałby radar. Rozumie pan,

terrorysty zobaczą pojazd, zobaczą przyczepę i powiedzą: Dobra, jeden spryciarz zwiął, zajmijmy się innymi...

– Ale zaraz, zaraz. – Dyrektor zmarszczył brwi. – Efektywność waszej usługi jest tym większa, im więcej ludzi dookoła nie będzie o niej nic wiedziało i nie będzie miało Mirage House. Tylko wtedy terrorysty będą mogli zwrócić się przeciwko nim!

Włoch powoli pokiwał głową i uśmiechnął się.

– E, hm... tak. To jedna z wielkich zalet i wad tego systemu.

– Co pan ma na myśli?

Teraz Salamanca mówił powoli i wyraźnie:

– Wybieramy klientów bardzo starannie, to wyjątkowa grupa. Mirage House nie jest systemem dla każdego, przeciwnie, to rozwiązanie dla wybrańców.

Kiełbasa uśmiechnął się nieznacznie.

– Teraz pan rozumie, skąd cena – ciągnął Włoch. – Płaci pan nie tylko za naszą wiedzę i doświadczenie, nie tylko za urządzenia, które zamontujemy w pańskiej posiadłości. Płaci pan również za to, że nie zainstalujemy tego systemu nigdzie indziej na pańskim osiedlu...

Kiełbasa wziął głęboki wdech i z głośnym szumem wypuścił powietrze z płuc.

– Widzę, że pan się zgodził, panie dyrektorze – szepnęła Salamanca.

Kiełbasa skinął głową.

– Przekonał mnie pan.

Dyrektor pionu inżynierii finansowej Finance International wkrótce wrócił do siedziby firmy. Gdy siadał za swoim potężnym biurkiem, nakazał korszarzowi przeskoczyć na blat i zagnieździć się w szczelinie między podstawą lampki a mahoniową gładzią. Włoch tymczasem ruszył alejami w stronę centrum. Nie spodziewał się dowiedzieć od niego niczego więcej, a bał się zostawić pluskwę na ubraniu kogoś, kto parął się takim fachem, więc skierował urządzenie na jego plecy, zeskoczył, a potem wydał polecenie autodestrukcji. Pięćdziesiąt dolarów. Bye, bye. Co do korszarza pozostawionego w

restauracji, nie ruszałem go. Niech wisi. Może jeszcze coś zarejestruje? Bywalcy danego lokalu siadają zwykle przy tym samym ulubionym stoliku.

Gdy wracałem do domu glide'em³⁹, przyznałem w duchu, że urządzenia warte są swojej ceny. To, że nie wykryły ich skanery Me Gusta, o niczym jeszcze nie świadczyło, bo właściciele restauracji, nawet tych najlepszych, są nieco zacofani, jeśli chodzi o tego typu nowinki techniczne, ale fakt, że nie zostały odkryte przez czujniki Finance International, był już godny odnotowania. Mimo że mój darknetowy dostawca trochę mnie przerażał, zaczynałem nabierać do niego zaufania...

Wieczorem tego samego dnia Marvin poinformował mnie, że dyrektor Hubert Kiełbasa odbył w biurze dwadzieścia trzy rozmowy wideofoniczne oraz cztery bezpośrednio, przy czym jedna z tych ostatnich była wyjątkowo brutalna. Poprosiłem go o odtworzenie nagrania.

O piętnastej dwadzieścia trzy dyrektor zaprosił do swojego gabinetu niejakiego Tadeusza Tarnowskiego, dyrektora działu kontroli i jakości, cokolwiek to mogło oznaczać w instytucji finansowej. Do ciemnego, wyłożonego egzotycznym drewnem pomieszczenia wszedł drobnym krokiem otyły brunet o lekko spoconym czole i wilgotnym filtrem nad górną wargą.

– Cześć, Tadziu, siadaj – odezwał się Kiełbasa ochrypłym basem.

– Tak, panie dyrektorze.

Człowieczek podszedł do fotela naprzeciwko biurka szefa i zapadł się w nim trochę jak meduza, którą rzucisz na kamienną plażę.

– Co to, kurwa, jest? – Dyrektor rzucił na biurko plik papierów.

Człowiek nazwany Tadzio wychylił się niepewnie i zerknął na dokument.

– No... umowa.

– Co ty, kurwa, powiesz? A z kim?

– Z Coin International?

– I co dalej?

39 Kabinowy motocykl.

– No... zawarliśmy ją.
– Ty ją zawarłeś, Tadziu.
– Zawarłem, tak jak pan dyrektor mówił, na monitoring yuana, jiao i fena...

– Nie pierdol, Tadziu! – krzyknął Kiełbasa. – Jiao i fen to dziesiąte i setne części yuana. Jeszcze jedno pustostowie z twojej tłustej gęby i lecisz na bruk!

– Tak, panie dyrektorze.

– Zatem?

– Coin International na nasze zlecenie ma monitorować yuana, kazachskie tenge...

– Wiem, czyją walutą jest tenge, Tadziu.

– Afgani, rubla, rupię pakistańską i indyjską...

– Co mają monitorować?

– No kursy... – kaszlnął Tarnowski.

– „No kursy”? Gdzie, kurwa, te kursy mają monitorować?!

– Na całym świecie...

Kiełbasa stuknął palcem w tablet.

– Popatrz, Tadziu. Widzisz, co to, kurwa, jest?

Dyrektor działu kontroli i jakości wybałuszył oczy, starając się odkryć, czym jeszcze mógłby być ten magiczny przedmiot.

– Pad...

– O, jak ładnie. A umiesz to słowo powiedzieć od tyłu?

Otyły mężczyzna spojrział przerażonym wzrokiem na zwierzchnika.

– Dap?

– Pięknie to, kurwa, powiedziałaś, ale zaczęłaś od „d” jak „dupa”, bo pisze się „pady”, przez „d” na końcu, a nie „t” jak kreTyn. Ale jak się czyta?

– No, to „d” jest trochę bezdźwięczne, ale nie do końca...

– A jakby było tak do końca?

– To „d” wymawiałoby się jak „t”?

– Tak, Tadziu, „d” jak „dupa” wymieniałoby się na „t” podobne do „trupa”. To teraz jeszcze raz.

– Ale co „jeszcze raz”, panie dyrektorze?

– Jeszcze raz powiedz od tyłu „pad” z twoim jebanym

bezdźwięcznym „d”.

– Eee... tap?

– Tak, kurwa, Tadziu, „eee tap”. Tap, kurwa, tap. Wiesz, do czego służy ten tap? Żeby sobie w niego tapać i tapać, i tapać bez końca. I wiesz, co można z niego wytapać?

Po dyrektorze Tarnowskim widać było, że nawet gdyby Kiełbasa tapał w jego spocone czoło całe popołudnie, raczej żadnej myśli by już nie wytapał. To najwyraźniej jeszcze bardziej rozjuszało dyrektora.

– Eee... – stęknął tłusty mężczyzna.

– Jesteś w stanie wyartykułować cokolwiek oprócz tej cudnej samogłoski?

– Aaa...

– Tadziu, jeszcze raz to zrobisz i wypierdalasz z firmy.

– Hm...

– Tadziu!

– Panie dyrektorze, mam wrażenie, że na padzie można wytapać... wszystko.

– Brawo! – Kiełbasa odchylił się w fotelu i klasnął dużymi dłońmi. – Jednak jakaś komórka mózgowa postanowiła cię uratować! Tak, Tadziu, ten służbowy, co nie znaczy, kurwa, darmowy, pad firmy Yamaha, model Uomo Tigre II, daje ci natychmiastowy szerokopasmowy, eksabajtowy dostęp do sieci i wszystko wyświetli w trójwymiarze o takiej rozdzielczości, że nie dopatrzysz się woksela nawet pod stukrotnym powiększeniem, co pośrednio dowodzi, że blok wizyjny generowany przez to skromne urządzenie może osiągnąć rozmiary sporego bloku mieszkalnego, prawda?

– Prawda, panie dyrektorze.

– Zatem, Tadziu, słoneczko ty moje, powiedz, która z twoich zmutowanych komórek mózgowych zdecydowała, żeby płacić jakiejś pierdolonej Coin International, która to „international” wzięta z szyldu burdelu na Tajwanie, pięćdziesiąt tysięcy miesięcznie przez dwa najbliższe lata za coś, co może zrobić jeden człowiek?!

– Ale... ale... panie dyrektorze, przecież na ostatnim spotkaniu

sam pan mówił...

– Co, kurwa, mówiłem?! – wrzasnął Kiełbasa.

– No, że mamy optymalizować wydatki...

– Tak, mówiłem coś takiego. – Dyrektor pokiwał głową, tym razem obniżając ton.

– I pomyślałem...

– Co, kurwa, pomyślałeś, idioto?! Że optymalizacja wydatków to outsource, który będzie nas kosztował milion dwieście tysięcy dolarów?

– Ale, panie dyrektorze, to nie są tak duże koszty. Pensja dyrektora na moim poziomie, roczna pensja, wynosi tyle, co te dwa lata dla Coin, a my nie damy rady tego zrobić, no już się nie da. Pracujemy po szesnaście, siedemnaście godzin na dobę, pracują drony, pracuje sprzęt biurowy. Jemy w biurze, nie dajemy rady, to musiało pójść na zewnątrz, inaczej się nie dało, no nie dało. Nasze zyski roczne, no, naszego działu, wynoszą od osiemdziesięciu do stu dwudziestu milionów euro, mówię tylko o naszym dziale, w sumie najmniejszym, więc...

Tadeusz Tarnowski cały sphywał potem, być może także łojem z gruczołów włosowych, a niewykluczone, że i innymi płynami, bo dyrektor Kiełbasa coraz bardziej się krzywił, patrząc na niego nieruchomym wzrokiem. Perspektywa ukazana przez korsarza upodabniała dyrektora do straszliwego bóstwa, azteckiego jaguara skrzyżowanego z posągiem z Wysp Wielkanocnych.

– A więc mówisz, Tadeuszu, że inaczej się nie dało? – wychrypiał. – Że ty zarabiasz w rok tyle, co Coin zarobi przez dwadzieścia cztery miesiące?

– Tak, panie dyrektorze... nie dało się – szepnął mężczyzna.

– No dobrze. To ja ci pokażę, drogi Tadziu, co się da zrobić. A da się zrobić, co następuje: wypierdasz z tej firmy w trybie dyscyplinarnym za podpisanie umowy bez mojej zgody...

– Ale przecież podpisałem ją zgodnie z moimi upoważnieniami...

– Zamknij ryj, Tadzienku. To po pierwsze. Po drugie, wszyscy pracownicy twojego departamentu mogą się na dwa najbliższe lata pożegnać z premiami, powinni zapomnieć o podwyżkach oraz przyjąć do wiadomości, że ich pensje zostaną zredukowane

o dziesięć procent aż do wygaśnięcia umowy z Coin, chyba że znajdą sposób na jej anulowanie.

– Ale, panie dyrektorze...

– Dla ciebie, Tadziu, jestem już obcą osobą. Bóstwem na obłoku, Dalajlamą na Czomolungmie. Oddaj identyfikator, pad zwany tapem, który do niczego już ci się nie przyda, i tak dalej, znasz procedurę. – Kiełbasa wykonał w jego kierunku niedbały gest. – Wyjdź.

– Ale, panie...

– Wy-pier-da-laj, śmieciu.

– Ale...

– Alex – Kiełbasa zwrócił się w powietrze.

Skierowałem oko kamery na czarno-białego robota, który do tej pory stał nieruchomo pod ścianą.

– Tak, panie dyrektorze? – odezwał się humanoid.

– Wyprowadź eks-dyrektora Tarnowskiego.

– Tak, panie dyrektorze.

– I zaparz mi kawy.

– Oczywiście, panie dyrektorze.

Podczas innej bezpośredniej wymiany zdań, jak twierdził Marvin, Kiełbasa omawiał eksmisję dziewięciu rodzin, a w czasie jednej z rozmów telefonicznych umówił się ponownie na spotkanie w Me Gusta. Takie ryby z reguły nie omawiają ważnych spraw w biurach, no, chyba że są samymi prezesami, którzy nie boją się podsłuchu i przecieków, więc ważniejsze jest to, co się dzieje w restauracji niż w gabinecie. Odetchnąłem, że nie będę musiał tam znowu iść, bo zostawiłem kamerę, a potem zakląłem w duchu, że kupiłem te okropne buty z różowymi noskami. Co ja z nimi zrobię? Sprzedam na eBayu? „Prawie nowe chujowe buciki w sam raz dla snobistycznego kretyna”? I kto je kupi? Pokręciłem głową z niesmakiem.

Exkmisja także była ważną sprawą, skoro zajmował się tym bezpośrednio Kiełbasa. Było to trochę dziwne. Postanowiłem być w dwóch miejscach jednocześnie.

Glide'em pojechałem na miejsce najbliższej eksmisji, a Marvina poprosiłem o zarejestrowanie rozmowy w restauracji. Oba

wydarzenia były, że tak powiem, intensywne.

Dotarłem na miejsce o dwunastej czterdzieści pięć, kwadrans przed planowaną akcją. Przedmiotem czynności prawnych był bungalow już poza strefą piezoelektrycznych chodników, położony bezpośrednio przy Felicjańskiej i opatrzony wyblakłym numerem szesnaście. Był żółty, obdarty i... zabarykadowany. Z pewnością kilkanaście lat temu był to uroczy, zadbane, wcale pokaźny dom z drewnianym gankiem i ogrodem, teraz jednak nie prezentował się zbyt pięknie: zza pogiętych metalowych zębów ogrodzenia straszyla blada urbanistyczna facjata przypominająca chorego na trąd. Niebieskie drzwi domostwa zdobiła holograficzna tabliczka informująca o dacie i godzinie eksmisji. Na zewnątrz zgromadziło się około pięćdziesięciu osób. Wiedzieli, na co czekają, bo szumieli, mruzcili i gotowali się niczym konfitury pozostawione zbyt długo w garnku. W jednym oknie co chwila błyskały buzie dzieci i twarze dorosłych. Wielodzietna rodzina. Wszystko to obserwowałem z kabiny Sumo, zastanawiając się, czy opuścić pojazd, czy jednak pozostać w jego bezpiecznym kokonie. Stwierdziwszy, że nie zapowiada się na jakąś dużą demonstrację, zaparkowałem glide'a w bocznej uliczce i podszedłem bliżej. Zatrzymałem się po przeciwnej stronie ulicy. Oczywiście nie byłem do siebie podobny. Miałem długi, kupiony dosłownie godzinę wcześniej płaszcz, a zawczasu użyty holomask spowodował, że moje oblicze kojarzyło się dokładnie z nikim: grube rysy, zapuchnięte oczy, także wargi. Tępak z osiedla. I o to chodziło.

Komornik zjawił się punktualnie, i to na czele oddziału policji składającego się z pięciu uzbrojonych drabów w kombinezonach taktycznych. Ledwie wysiedli z policyjnego wozu, tłum obrzucił ich okrzykami:

- Won stąd!
- Porządnych ludzi wyrzucacie!
- Krzywdzicie!
- Nie mają pieniędzy, więc się ich pozbyć, tak?!
- Gdzie człowieczeństwo?!

– Złodzieje!

Komornik nie zatrzymał się. Otworzył zdezelowaną furtkę i podszedł wprost do wejścia, osłonięty przed ludźmi przez policjantów. Zapukał do drzwi. Nic się nie stało. Zapukał drugi raz. A potem trzeci. Wreszcie z okna wychyliła się zarośnięta twarz, zapewne pana domu.

– Nie wpuścimy was! To nasz dom! To nasz dom!

– To bezprawie! – krzyknął ktoś z tłumu. – Sobiepankowie mieszkają tutaj od trzech pokoleń!

– To bezprawie! Idźcie stąd!

Komornik, ubrany w szary garnitur drobny blondyn o poskręcanych, nieco rzednących na szczycie czaszki włosach, chciał coś odpowiedzieć właścicielowi nieruchomości, ale okno zamknęło się i słychać było odgłos wbijanych gwoździ. Domownicy zabili ostatnie okno deskami. Komornik nachylił się do któregoś z policjantów, zapewne dowódcy. Szeptali chwilę. Ubrany w czarny pancerz funkcjonariusz pokręcił głową. Wtedy urzędnik znowu coś szepnął i dowódca zaczął nadawać przez komunikator.

Przedstawiciel Urzędu Skarbowego opuścił posesję, podszedł do zgromadzonych i podniósł ręce w uspokajającym geście.

– Proszę państwa, mylicie się, krzycząc: „To bezprawie”. Jest dokładnie odwrotnie. Jestem przedstawicielem prawa, a przekroczyli je państwo Sobiepankowie. Podpisali umowę kredytową, nie płacili w terminie rat, otrzymywali upomnienia, ale nic sobie z nich nie robili. W tej chwili to oni są przestępcami. Podpisali dokument, według którego, jeśli nie spłacą kredytu, oddadzą swój dom. Są dorosłymi ludźmi, a teraz zachowują się jak dzieci. Państwo, wspierając przestępców, możecie pójść do więzienia.

– Won stąd! – padła pierwsza inteligentna odpowiedź.

– To porządni ludzie!

– Znamy te umowy! Każą płacić tysiąc, potem dwa, trzy, a później, jak człowiek nie daje rady, wyrzucają go z domu!

– Znamy Finance, tfu, International! To ta jebana firma jest przestępcą, nie my!

Komornik uniósł brwi, jakby uznał, że nie ma sensu rozmawiać z tłuszcza. Opuścił ręce. Policjanci stali nieruchomo dookoła niego.

– Myśli pan, że jak będzie tak stał i milczał, to odejdziemy?! – krzyknęła jakaś kobieta.

– Nie odejdziemy! – zawtórował jej mężczyzna ze środka grupy.

– A pana milczenie nas nie zwiedzie! To wy jesteście przestępcami! Wciskacie ludziom kredyty, które nie są im potrzebne, a potem odbieracie wszystko! Robicie z nas niewolników, bo człowiek z długiem zgodzi się na gównianą pracę i gówniane warunki! Sobiepankowie wzięli sto tysięcy, a muszą oddawać trzysta! To trzysta procent! Znamy tę historię! Zaraz tu przyleci prasa! Zaraz przyleci prasa i, kurwa, świat się dowie o tym skandalu!

Komornik ponownie uniósł brwi i zacisnął usta, zupełnie jakby powstrzymywał się od pobłażliwego uśmiechu, który mówiłby mniej więcej: „Naprawdę myślicie, ludzie, że świat jest zainteresowany tym nic nieznaczącym wydarzeniem? Naprawdę sądzicie, że jesteście tacy ważni, że ktokolwiek uroni łzę wzruszony waszą niedolą?”. Wyciągnął rękę do policjanta. Ten podał mu tubę. Urzędnik przytknął ją do ust i odwrócił się w stronę domu.

– Zygmuncie Sobiepanek, mówi Mariusz Domagała, komornik przy Urzędzie Skarbowym dzielnicy Praga Południe. Proszę otworzyć drzwi i wyjść z rodziną na zewnątrz. Proszę zabrać dokumenty. Przejmuję ten dom zgodnie z literą prawa. Macie trzy minuty na zastosowanie się do polecenia. W przypadku odmowy zostaną użyte stosowne środki.

– Nic nam nie zrobicie! – dał się słyszeć stłumiony głos. – To mocny dom, a okna i drzwi są zabarykadowane! People power! Nie damy się!

– People power! – krzyknął tłum. – W kupie siła! Won stąd!

Nagle usłyszałem szum i poczułem na policzkach drżenie powietrza. Podniosłem wzrok. Hover. Lądował obok policyjnego wozu. Zanim przyziemił, wyskoczył z niego funkcjonariusz w potężnym operacyjnym egzoszkielecie. Tłum jęknął, ujrawszy behemota. Superman podszedł lekkim, sprężystym krokiem do

zgrupowanych i zmierzył ich wzrokiem przez mechaniczne wizjery. Ludzie odstąpili kilka kroków. Wtedy olbrzym zbliżył się do ogrodzenia, przesadził je jednym susem, podszedł do drzwi i uderzył w nie pięścią. Pękły niebieskie deski, a holograficzna tabliczka spadła na ziemię. Uderzył drugi raz, aż echo potoczyło się wzdłuż drogi. Po czwartym ciosie drzwi rozpadły się ze zgrzytem, a tak późno dlatego, że były od środka obite stalową blachą. Minutę później Sobiepankowie leżeli na ziemi, skuci. Najgorszy był widok dzieci: dwóch czarnowłosych mniej więcej dziesięcioletnich dziewczynek i nie więcej niż sześciolatniego chłopczyka. Cała trójka zanosila się płaczem. Matka błagała, by zdjąć im kajdanki, ojciec krzyczał, że będzie zabijał, nad nimi zaś czuwał posępny, milczący i wielki jak góra policjant.

A tłum wył.

Wróciłem do Sumo i kazałem się zawieźć do domu. Jakby mi było mało, poprosiłem Marviną, aby w czasie podróży odtworzył rozmowę Kiełbasy w Me Gusta.

Tym razem spotkał się z kobietą, około trzydziestoletnią blondynką. Była ubrana w typową dla bizneswomen garsonkę (oczywiście, zgodnie z panującą modą, różową, ze złotymi wstawkami) i o ton ciemniejszą spódnicę kończącą się przed kolanami. W jej włosach połyskiwała holograficzna niebieska przepaska (błękit także jest teraz modny).

– Ma mi pani coś do zakomunikowania, pani Sandro? – spytał Kiełbasa, nie wstając na powitanie. Tym razem ubrany był nie w kanarkowy garnitur, lecz w wiśniowy surdut.

O ile pamiętam, te barwy były popularne dwa lata temu. Zaczęło się we mnie rodzić podejrzenie, że Kiełbasa nie stosuje się do odzieżowych trendów nie z powodu wolnomyślicielstwa, o które go nie podejrzewałem, ale po prostu ze skąpstwa.

Widać było, że jest niespokojny, bo chrząknął, poprawił rękawy i założył nogę na nogę.

– Niestety tak – odparła kobieta, siadając. Położyła na stole pad i uruchomiła jakąś aplikację.

– Uuu, to nie brzmi dobrze – zagrzemiał dyrektor. – Może lepiej

by było, gdybyśmy się spotkali jutro, a pani przemyślałaby to, co ma mi do powiedzenia? Espresso i lody, te co zwykle – rzucił do kelnera.

– Niestety nie, panie dyrektorze – oznajmiła Sandra, po czym zerknęła na kelnera. – Americanę poproszę i szarlotkę z bitą śmietaną.

– Dlaczego, panie Sandro? – spytał Kiełbasa.

– Bo to pilne. – Blondynka ledwie zauważalnie westchnęła.

– Zaczyna mnie pani przerażać. – Kiełbasa zdjął prawą nogę z lewego uda i założył lewą nogę na prawą.

– Gdyby to było przerażające, panie dyrektorze, zadzwoniłabym.

– Sandra uśmiechnęła się blado. – Panuję nad sytuacją...

Z ust Kiełbasy wydobył się dźwięk będący skrzyżowaniem samogłoski „e” i chrząknięcia.

– Wie pani co? W moim przekonaniu jest bardzo mało sytuacji, w których możemy powiedzieć, że nad nimi panujemy. Dla przykładu, mam we Wrocławiu psa, małego yorka. Ilekroć wracam w piątek, dokładnie o dwudziestej wyprowadzam go na spacer poza osiedle, na łąki, bo nie lubię po nim sprzątać. I wie pani co? Nawet wtedy, gdy mam go na smyczy, a tuż obok, za murem moja rodzina odpoczywa w ciepłe kominka, mimo że wychodzę zawsze o tej samej porze, co daje mi pewne poczucie stabilizacji, nie panuję nad sytuacją. Dlaczego? Bo nie wiem, czy ten mały skurczybyk się wysra czy nie. Rozumie pani?

Blondynka uśmiechnęła się nieznacznie.

– Nie jestem pewna. Tak czy owak...

– Zamieniam się w słuch – odparł dyrektor, przyjmując z rąk kelnera małą, białą filiżankę ozdobioną błękitno-złotym szlaczkiem.

– Jak pan wie, pracuję w warszawskiej giełdzie od siedmiu lat. To wbrew pozorom dużo.

– Gdyby było inaczej, nie zatrudniłbym pani jako doradcy finansowego. – Dyrektor Finance International zrobił taką minę, jakby chciał powiedzieć: Do rzeczy, proszę pani, do rzeczy, nie marnujemy czasu na komunały.

– Jestem najwyższej klasy specjalistką od programów

giełdowych i przy okazji prawniczką, więc wiem, co jest legalne, a czego prawo nie ma możliwości zinterpretować.

Kiełbasa nerwowo się roześmiał.

– To właśnie podejście u pani cenię!

– Niestety pojawił się ktoś lepszy ode mnie. – Kobieta przełknęła ślinę.

– W której z tych dziedzin? – chrypnął Kiełbasa, chwytając łyżeczkę i dziobiąc pistacjową kulkę spoczywającą w kryształowym pucharku, który przed chwilą przed nim postawiono.

– Programingu. Mój najnowszy produkt, aplikacja StockB1000, przestał przynosić zyski – oświadczyła kobieta szeptem, po czym, jakby powiedziała właśnie coś zupełnie niewinnego, na przykład: „Jutro będzie padać”, zagłębiła łyżeczkę w szarlotce.

– Jak to?! – Kiełbasa wychylił się do przodu.

Blondynka chrząknęła.

– Jak pan wie, opierała się na mikrotransakcjach. Wykorzystując minimalne różnice kursów walut, wykonywała operacje trwające ułamki sekund, przez co za każdym razem generowała minimalne, ale dające się policzyć zyski, które zsumowane dawały...

Kiełbasa machnął ręką.

– Znam zasadę!

– Jak mówiłam, StockB1000 przestał działać.

– Ale jak to?!

– To znaczy... nie działa już tak dobrze jak przedtem, co, przyjąwszy moje standardy, oznacza, że w zasadzie nie funkcjonuje.

– Czyli?

– Pojawił się nowy program, w zasadzie legalny. Jego twórca nazwał go RealThief101. Niestety nie wiem, kto go napisał.

– Dowcipniś...

– Jest szybszy od mojego Stocka, ale o tak niewielki przedział czasowy, że udaje mu się rzecz niewiarygodna: uprzedza operacje mojego programu, zgarnia zysk, a Stock kończy transakcję wtedy, gdy zmieniają się kursy walut.

– To możliwe?

– Niestety – kobieta odchyliła się i przeczesała palcami włosy – okazuje się, że tak.

– Pani Sandro, proszę już przy mnie nie używać słowa „niestety”, dobrze? Proszę mi też powiedzieć, czy da się rzecz naprawić, bo to, co przed chwilą pani odegrała, jest tylko efektownym entré mającym na celu zwiększenie pani zysków. A może naszą współpracę należy uznać za byłą?

– Już naprawiłam błąd w Stocku, ale jeszcze nie zrobiłam uploadu, bo chcę mieć pańską akceptację. I nie, nie zamierzam prosić o większą prowizję.

Z dyrektora jakby uszło powietrze. Rozluźnił się i opadł na krzesło.

– Czyli był tam błąd?

– W pewnym sensie. Program nie czekał na potwierdzenie wysokości kursów. Liczyła się szybkość, a dotąd był najszybszy i dlatego generował dobry zysk.

– Nie przypadkiem cieszy się pani sławą.

Sandra wzięła głębszy wdech i upiła łyk kawy.

– To się skończy, panie dyrektorze. StockB1001 nie będzie już taki szybki. Będzie czekał na potwierdzenie. To spowoduje, że Thief nie zdoła mu zaszkodzić, ale zyski spadną.

– Jak bardzo? – szepnął dyrektor.

– Dotąd zarabiał pan około pięciuset tysięcy euro miesięcznie minus moja pięcioprocentowa prowizja...

– A teraz?

– Hm... Maksymalnie dwieście tysięcy, ale liczyłabym na sto, sto pięćdziesiąt.

Mężczyzna wyduł wargi.

– Na co mi taka forsa? Na waciki?

Kobieta nieznacznie uniosła brwi.

– A pani, pani Sandro? Co pani będzie z tego miała? Pięć tysięcy? To się w ogóle opłaca?

– Nie jest pan moim jedynym klientem...

– A ilu ich jeszcze pani ma?

Prawniczka uśmiechnęła się blado.

– Za pozwoleniem, panie dyrektorze, ja nie pytam pana o takie rzeczy.

– Racja. Długo to potrwa?

– Co „potrwa”?

– No, takie małe zyski.

Blondynka zacisnęła wargi, po czym wydała padowi głosową komendę. Urządzenie wyświetliło drobny tekst.

– Panie dyrektorze, to jest początek ustępu kodeksu cywilnego mówiącego o matematycznych operacjach giełdowych. Niech mi pan powie z ręką na sercu, czy pan coś z tego rozumie.

Kiełbasa pochylił się nad stołem i przez chwilę trwał nieruchomo. Potem przeczesał włosy, podrapał się w kark i opadł na oparcie.

– Niewiele.

– Otóż to. Jest pan bardzo inteligentnym człowiekiem obytym z prawniczym żargonem, a mimo to nawet pan ma kłopoty. Teraz niech pan zerknie tutaj.

Pad prawniczki wyświetlił kolejny ciąg znaków.

– A cóż to?

– Kod Stocka, najnowszej wersji, oczywiście tylko część. Proszę tego nie kopiować. Tutaj nie muszę pytać, czy pan coś rozumie, bo, o ile pamiętam, nie zna się pan na programingu.

– Rzeczywiście, to dla mnie terra incognita.

– A teraz niech pan zerknie na ten wzór.

Tym razem pad kobiety wyświetlił złożoną formułę matematyczną. Było tam dużo nawiasów i niezrozumiałych znaków.

– Niech mnie pani zabije. Znam matematykę, ale to mnie przerasta.

– Ta formuła to narzędzie giełdowe, na którym opiera się program Stock. Widzi pan, takich ludzi jak ja, którzy a: opanowali prawo giełdowe, b: znają się na programingu i c: rozumieją ten wzór, w zasadzie nie ma. Jestem wyjątkiem.

– Drugim jest autor Thiefa.

Kobieta pokręciła głową.

– Jego aplikacja łamie prawo.

- O?
 - Według mojej interpretacji.
 - Jesteśmy w stanie wygrać w sądzie?
 - Raczej nie. Musieliby tam siedzieć ludzie, którzy nas zrozumieją, to raz, a po drugie, nie warto takich rzeczy zanosić przed trybunał. Ta demonstracja miała uzmysłwić panu jedno: jeśli ja sobie z tym nie poradzę, to mało prawdopodobne jest, by ktokolwiek inny potrafił to zrobić.
 - Czyli należy liczyć, że wygra pani z tym złodziejem?
 - Mam nadzieję, że to tylko kwestia czasu.
 - I naprawdę nie chce pani podwyżki?
- Kobieta łyknęła kawy.
- Panie dyrektorze, za pozwoleniem, kiedy ostatni raz zrobił pan coś konkretnego?
- Kiełbasa zmarszczył brwi.
- Co pani ma...
 - No... wykopał pan dół, zasypał dół, postawił kamień na kamieniu?
 - Nie rozumiem.
 - Dostajemy pieniądze za nic, panie dyrektorze. To znaczy pan dostaje je za nic, czyli za to, że stoi pan na szczycie piramidy, w której wszystkie strumienie prowadzą do góry.
 - Proszę pani!
 - Ja też wyzyskuję system i mam tego świadomość, a pan?
 - Ależ?!
 - Po prostu kradnę. Tyle że dzięki umiejętnościom i wiedzy. Pan ma tylko pieniądze, za które kupuje moją wiedzę. I nie ma pan umiaru. To niedobrze.

Spotkanie, wbrew pozorom, skończyło się dla kobiety korzystnie. Kiełbasy nie było stać na to, by zrezygnować z jej usług. Ledwie projekcja się skończyła i szyby Sumo odzyskały przezierność, poczułem, że pojazd zwalnia. Skonstatowałem, że znalazłem się na podziemnym parkingu mojego apartamentowca.

W mieszkaniu powitał mnie niezmordowany Marvin.

Zaproponował pizzę hawajską, a ja chętnie na to przystałem. „Potrzeba panu dużo węglowodanów”, stwierdził i nie sposób było się z nim nie zgodzić. Tego dnia nie ćwiczyłem. Zjadłem, napiłem się herbaty, umyłem i poszedłem spać.

Śniłem o wielkim, niezniszczalnym policjancie.

Gdy się obudziłem, wiedziałem, czego mi trzeba. Wszedłem w sieć, zrobiłem szybki przegląd i znalazłem odpowiedni model. Nigdy nie miałem kłopotów z zakupami. Są ludzie, którzy, zanim wybiorą drukarkę czy komputer, spędzają miesiące na porównywaniu i analizowaniu. To nie ja. Intuicyjny wybór, a potem błyskawiczna weryfikacja.

– Marvin, gdzie się znajduje najbliższy salon Hondy?

– Chodzi panu o pojazdy czy inne wyroby? – spytał dron, szykując omlet.

– Chodzi o egzoszkielety. Medyczne.

– Źle się pan czuje?

– Marvin, odpowiedz na pytanie.

– Już sprawdzam. Radzymińska, Marki. Ma pan już wbity adres do samochodu i glide’a.

– Dziękuję.

– Proszę pana?

– Tak, Marvin?

– Dzisiaj dyrektor Kiełbasa ma znowu spotkanie w Me Gusta. Czy je nagrać?

– Marvin, nagrywaj wszystko, cały czas.

– Mam wrażenie, że to spotkanie będzie ważne. Wyczułem to w tonie pana dyrektora.

– Świetnie, tym bardziej je nagraj.

Pochłonawszy omlet z jagodowym żelem i popiwszy go gęstą i aromatyczną zieloną herbatą, zszedłem do garażu, wsiadłem do Sumo i kazałem się zawieźć do salonu. Takie rzeczy najlepiej się kupuje bezpośrednio. W czasie jazdy obejrzałem spotkanie Kiełbasy z przedstawicielem firmy Vulture zajmującej się skupem lokali po takich nieszczęśnikach jak Sobiepankowie. Nie przeżyłem wielkiego szoku, dowiadując się, że Kiełbasa ma

finansowy układ z „Sępem”, że licytacje są ustawione i że ręką rękę myje. Gdy dojeżdżałem do salonu Hondy, nie miałem już wątpliwości co do swojej misji.

Dwa dni później dwa drony wniosły do apartamentu wielką skrzynię. Jeden z nich wręczył mi dowód zakupu oraz gwarancję, a drugi wcisnął przycisk automatycznego rozpakowania pudła. Nie zdążyły wyjść, gdy na środku salonu pojawił się wielki, połyskliwy, nieco przerażający...

– Co ma pan zamiar zrobić z tym monstrum? – spytał Marvin.

Przełknąłem ślinę, oglądając coś, co z grubsza przypominało człowieka, ale bardzo pokracznego, bezgłowego i niejako pustego. Centralną osią obiektu była wielomodułowa, przypominająca kręgosłup kształtka połączona z dużą, płaską baterią. Od kształtki w górnej części odchodziły klamry klatki piersiowej i wzmocnienia pasa barkowego, a w dolnej rusztowania miednicy. Na obu obręczach znajdowały się siłowniki ramion, przedramion, ud i podudzi oraz stosowne obejm. Potwór stał na podporach przypominających standardowe obuwie.

– Marvin, poznaj Hektora firmy Honda. To egzoszkielet. Nie jest tak drogi jak ty, ale też nietani. Zaraz go podłączę do domowej sieci, tylko załaduję... O! – Wyjąłem z niewielkiego pudełka kryształ. – Wgraj to oprogramowanie. – Podałem nośnik dronowi. – Hektor jest przerobiony i podrasowany. Ma lepszą baterię i siłowniki, jest szybszy i wydajniejszy od standardowej protezy dla staruszka.

– Nie jest pan staruszkiem.

– Celna obserwacja, przyjacielu. Nie jestem. Niemniej lepiej mieć egzoszkielet, niż go nie mieć, czyż nie?

– Nie jestem pewien, czy rozumiem.

– To oczywiste.

– I znowu pan ze mnie żartuje. Po co panu to urządzenie?

– Niech to zostanie moją słodką tajemnicą.

– Oczywiście.

- I nikt z potencjalnych gości nie powinien wiedzieć, że go mam, więc gęba na kłódkę.
- Jak pan sobie życzy.

Pierwszy trening w sali ćwiczeń skończył się... uszkodzeniem posadzki. Okazało się, że bydlę jest za ciężkie. Musiałem schować potwora do szafy i wezwać techników. Ci pocmokali, pogadali, aż wreszcie wylali mi na jednej czwartej powierzchni pokoju specjalny beton używany w hurtowniach i magazynach. Nazywali go stroboleum. Po tym wypadku kupiłem wielkie Adidasy, zdarłem z nich podeszwy i podkleiłem budowlanym klejem stopy egzoszkieletu, wierzchnią stronę kopyt Hektora obłożyłem zaś tym, co pozostało z butów. Zrobiłem to bardzo starannie, a model obuwia wybrałem, niezgodnie z modą, czarno-bury, więc nawet przy dokładnych oględzinach nie widać było spoin i klejenia. O to chodziło. Dzięki temu pozostawię po sobie na błocie czy śniegu jedynie odciski dużych sportowych butów, a kamery zobaczą wyłącznie niewzbudzające podejrzeń Tigery. Problemem były spodnie, bo gdy szkielet robił ze mnie dwumetrowego olbrzyma, widać było jego metalowe łydki, ale i z tym sobie poradziłem... kupując po prostu w serwisie Hondy trzy pary specjalnych pantalonów. „Pański dziadek będzie z tego prezentu naprawdę zadowolony” – zapewniał serwisant. Wmówiłem mu, że to prezent urodzinowy, a mój praszczur trenuje tai-chi.

Potem kupiłem długi, obszerny i ciężki płaszcz, dzięki któremu szkielet stał się praktycznie niewidoczny.

A gdy już nauczyłem się w szkielecie chodzić, skręcać tułów, robić wymachy i stać na jednej nodze, zacząłem ćwiczyć na dobre. Oczywiście w płaszczu. I w kapeluszu. I, doprawdy, uśmiełby się ten, kto widziałby moje pierwsze próby. Ubranie ograniczało ruchy, więc zdarzało się, że niemal traciłem równowagę. Na szczęście serwomotory egzoszkieletu zmniejszają ryzyko upadku. Mimo to moja motoryka

przypominała bardziej ruchy kaleki niż mistrza sztuk walki. Nie minęły trzy dni, a z pozoru wytrzymały tren cz był porozrywany w wielu miejscach. Sam też nie czułem się najlepiej. Miałem obolałe ramiona, przedramiona, klatkę piersiową, uda i podudzia, słowem, wszystkie te miejsca, w których obejmował mnie Hektor. Kręgosłup skrzybiał mi i rwał tak mocno, że przez tydzień musiałem brać proszki przeciwbólowe. Marvin protestował, kibel donosił, że jestem przeciążony, ale ja z uporem maniaka trenowałem. Przerwę zrobiłem dopiero wtedy, gdy nie panując nad bólem i koordynacją, zdemolowałem niedawno zakupionego heartbreakera, który miał dbać o moją wydolność.

Wtedy zrobiłem trzydniową przerwę regeneracyjną, przemeblowałem salę, kupiłem drugiego heartbreakera, a z zakupem nowego płaszcza postanowiłem zaczekać, aż nauczę się poruszać w starym, połatany już w dziesiątkach miejsc. W tym czasie miałem okazję obejrzeć jeszcze kilkadziesiąt występów pana Kiełbasy, które tylko utwierdziły mnie w przekonaniu, że to cham, prostak, gbur, świnia i żłób jakich mało. Korporacyjny demon wcielony.

I to dodawało mi skrzydeł.

Wreszcie zaadaptowałem się do nowych rozmiarów, nowego pancerza, płaszcza i... tej siły. Byłem teraz jak ten policjant, który bez trudu przeskoczył niemal dwumetrowy płot, a potem czterema uderzeniami pięści rozbił drzwi. Ja też mógłbym to zrobić, oczywiście gdyby mój model miał osłony dłoni. Nie miał, ale to i dobrze. Dzięki temu gruby, sztywny tren cz był w stanie skutecznie go kamuflować.

Następne treningi poświęciłem wyłącznie doskonaleniu niskich technik nożnych i cichemu przemieszczaniu się. Okazało się, że jest to możliwe.

W tym okresie w zasadzie odizolowałem się od świata. Nie było to takie trudne. Moi rodzice na szczęście przebywali gdzieś na wakacjach, więc mama wciąż milczała, z bratem Peterem kontaktowałem się standardowo dwa razy do roku, Stach z żoną Kasią i trzema synami grzał kości na Wyspach Kanaryjskich, Alicja wyruszyła w podróż po fiordach... a więcej znajomych nie

miałem.

Wyjątek stanowiło jedno, jedyne spotkanie służbowe, jakie miałem okazję odbyć w połowie sierpnia – z Grażyną Kochańską, dyrektor działu sprzedaży amerykańskiego koncernu ubezpieczeniowego YourLife Ltd. Rozmawialiśmy pod żółto-różowym (a jakże) parasolem niedużej restauracyjki Amore, w pobliżu placu Zbawiciela. Zamówiliśmy potężne sagany herbaty (jak twierdziła pani Grażyna, mieli tam znakomite źródła zaopatrzenia) i wuzetki. Świeciło słońce, było ciepło, otaczał nas gwar licznych gości, a samochody, jakoś tego dnia czyste i wesołe, połyskiwały refleksami światła. Dyrektor Kochańska należała do mojego pokolenia i trzymała się wcale nieźle. Widać było, że ćwiczy i o ciele nie zapomina, ale zdaje się, że jedną z procedur korekty twarzy przeszła dopiero co, bo jej oblicze, mimo że użyła holomasku, było nieco obrzęknięte. Nie przeszkadzało jej to jednak w mówieniu, a to, co mówiła, budziło zarówno moje zainteresowanie, jak i, hm, przerażenie.

– Zrobiłam asesment moich menedżerów i sprzedawców, tutaj ma pan wyniki. – Wręczyła mi plik papierów. – Proszę się z nimi dokładnie zapoznać, ale już panu powiem, co mniej więcej wyszło. Oczywiście zupełny brak umiejętności sprzedaży.

Uniosłem brwi.

– Pan się dziwi. YourLife od lat zajmuje się underwater processes, czyli sprawami emocjonalnymi. Nieważne, co jest na powierzchni, istotne jest to, co się dzieje pod skórą, tak zwane uczucia, wie pan. No i w związku z tym nikogo się nie zwalnia, głośzcze się każdego, można nie mieć wyników przez dwa lata i nikt się tym nie przejmuje. Kiedy zostałam zatrudniona w tej firmie, oniemiałam, bo jak można coś takiego tolerować?! Z miejsca zwolniłam trzy osoby i od razu zmotywowałam zespół do pracy.

Wypiła wielki haust herbaty. Zrobiłem to samo, by ukryć wyraz swojej twarzy. Napar był rzeczywiście dobry – gęsty i aromatyczny.

– Oni naprawdę nie umieją sprzedawać – ciągnęła. – Dają

klientowi wszystko, czego chce. „Chce pan tego? Będzie pan to miał! Inaczej to załatwić? Proszę bardzo!” A gdzie nasz zysk? Gdzie negocjacje? Tego nie ma. Zostali przyzwyczajeni, że zlecenia dostają z centrali, więc o nic się nie martwią. Ale nie to jest najgorsze. – Pochyliła się do mnie i ściszyła głos. – Oni ciągle dyskutują.

– Dyskutują?

– Marudzą, psioczą, podają w wątpliwość decyzje centrali, przez co niszczą morale podwładnych, a do tego dopuścić nie mogą.

Mrugnęła porozumiewawczo i włądowała do opuchniętych ust kawałek wuzetki. Ja też spróbowałem. Ciastko było fantastyczne. Czekolada zmieszana z najprawdziwszą, na miejscu ubitą śmietaną, nieco wanilii, ale bez przesady, wszystko w idealnych proporcjach. Świat znowu poweselał.

– Rozumie pan, YourLife to nie firemka zatrudniająca tysiąc czy pięć tysięcy ludzi. To międzynarodowa korporacja. Centrala naprawdę nie oczekuje od nas analizowania ich poleceń, kwestionowania wytyczonej linii sprzedaży czy polemik na temat sensowności strategii. Pracownicy słyszą narzekania menedżerów, więc podnoszą głowy, zaczynają także rozmawiać i cała para idzie w bezproduktywne dyskusje. Chciałabym, żeby pan to ukrócił, panie Pollack. Oczywiście przy okazji, bo najważniejsze będą techniki sprzedaży i kompetencje menedżerskie, co do tego nie ma wątpliwości. Chciałabym jednak, żeby wbił pan im do głowy, że w YourLife Ltd. menedżer nie jest od zastanawiania się, czy takie albo inne rozwiązanie podane przez centralę jest dobre, ale od tego, żeby swoim ludziom tak je przedstawić, by się uspokoili, zaakceptowali je i ruszyli dupska. Rozumie pan? – Uśmiechnęła się napuchniętymi wargami, zatrzepotała chyba nieco zbyt długimi rzęsami i ugryzła perłowymi zębami kolejny kawałek ciastka.

Chrząknąłem i skinałem głową.

– Ujęłabym – podjęła, przełknąwszy – naszą filozofię tak. Jestem trybikiem. – Stuknęła się w wydatny dekolt. – Zębatką w wielkiej maszynie. Nikt ode mnie nie oczekuje dyskusji czy pytań. Jestem najemniczką i mam w zębach przynieść centrali wynik. I jestem z

tego dumna. Takie właśnie myślenie, takie podejście chciałabym widzieć u swoich ludzi. Zrobi pan to dla mnie, panie Pollack?

Spojrzała na mnie z wyczekiwaniem. Miała ładne orzechowe oczy. Jestem pewien, że po ustąpieniu obrzęku zobaczyłbym całkiem ładną twarz.

Tylko ta mentalność...

Znowu chrząknąłem, rozpaczliwie szukając odpowiednich słów. YourLife bardzo dobrze płaciło. Kochańska, chociaż zrobiłem dla niej dotąd tylko jedno szkolenie, miała do mnie zaufanie, bo zarekomendował mnie Bukowski, a to był jej dawny szef.

– Pani Grażyno, oczywiście się postaram. Przejrzę te materiały, to, co pani mówiła, mam zanotowane. – Stuknąłem się w skroń i uśmiechnąłem. – Zrobimy takie szkolenia, żeby była pani zadowolona.

Rozpromieniła się i opadła na oparcie, dając tym samym znać, że kamień spadł jej z serca.

Rozmawialiśmy jeszcze o literaturze (była bardzo czytana), o sztuce (jak się okazało, znała się na wszystkim) i, na koniec, o tym, na co mężczyźni patrzą, obserwując kobietę, który to temat uznałem za lekką i inteligentną zaczepkę w stylu: „Czy się panu podobam?”. Do dyskusji sprowokował ją billboard wiszący nad skwerem po drugiej stronie ulicy. Przedstawiał nadzwyczaj biuściastą, czerwono włosą nastolatkę o niebywale wąskiej talii reklamującą najnowszą linię antyperspirantów dla młodzieży.

– Oto właśnie, czego oczekują mężczyźni – wskazała palcem obraz – cienkiej kibici, płaskiego brzucha, wielkich piersi...

Pokręciłem głową.

– Mylę się? – zainteresowała się moją reakcją.

– Też tak myślałem, ale w trakcie pracy spotkałem tysiące mężczyzn i często wyciągałem ich wieczorami na rozmowy typu: Co ci się podoba w kobiecie? Odpowiedzi prawie w stu procentach pomijały talię tudzież płaski brzuch.

Była wstrząśnięta.

– A więc co?

– Biust, pośladki, uśmiech, spojrzenie, dłonie, paznokcie, czasami sylwetka. Talia pojawiła się może dwa razy, a, jak

mówiłem, rozmawiałem z bardzo wieloma przedstawicielami płci brzydszej. To samo, jeśli chodzi o buty. Faceci nie patrzą na nie.

– Ale przecież szpilki...

– A tak, mężczyznom podobają się kobiety w tych butach, ich figura, lecz nie znaczy to, że gustują w samym obuwiu. Panie noszą buty i chwalać się nimi przed... innymi paniami.

Kręciła głową, nie mogąc uwierzyć. Przyjrzałem się jej bluzce. No tak. Zdaje się, że dbała o brzuch.

– Ale proszę się nie martwić. – Uśmiechnąłem się do niej. – Sam też nie rozumiem tych wszystkich facetów. Osobiście najbardziej cenię w kobiecej sylwetce to, co wymieniła pani na początku.

I znowu się rozpromieniła.

Ach, te kobiety.

Wkrótce przeprosiła mnie i zaczęła się zbierać, tłumacząc, że wkrótce ma kolejne spotkanie. Jak to zwykle w korporacjach.

Pozegnaliśmy się, ustaliliśmy szczegóły następnego spotkania (we wrześniu), odprowadziłem ją do jej wozu (srebrnego Mercedesa SX 2000), a potem wróciłem do Amore i zamówiłem kolejną herbatę. Była zbyt piękna pogoda, żeby od razu wracać do domu, a i słowa dyrektor Kochańskiej wciąż krążyły mi po głowie.

„Jestem trybikiem”, „Jestem najemniczką”, „Nikt ode mnie nie oczekuje pytań”, „I jestem z tego dumna”. „Dumna”. „Dumna”.

Niebywałe.

Łyknąłem herbaty i rozejrzałem się po restauracji. Na moje oko wszyscy goście byli pracownikami wielkich firm. Charakterystyczne kołnierzyki (w tym sezonie modne były pasiaste), płaskie, eleganckie, ale pozbawione indywidualności zegarki na męskich przegubach (przeważnie Timexy), garsonki i spódnice o typowym korporacyjnym kroju, wszędzie różowe wstawki i te infantylne noski butów... Śmiali się z dowcipów, rozmawiali o interesach, sprzedaży, zyskach, ich braku, kampaniach promocyjnych, reklamach. I nikt, nikt nie widział.

Ale Roddy, o co ci chodzi? Sam przed chwilą przystałeś na propozycję uczynienia z myślących jeszcze być może

pracowników... trybików. Sam na to poszedłeś. Dlaczego? Z powodu pieniędzy oczywiście. Inna sprawa, jak to zrobisz, a zrobisz oczywiście po swojemu, jednak nie oszukuj się, korzystasz z tego systemu. Gdyby nie takie firmy, jak Atrou czy YourLife, nie zarobiłbyś.

Ale przynajmniej myślę. Przynajmniej się zastanawiam, widzę i staram się widzieć więcej. Te wszystkie kobiety dookoła mnie, ci mężczyźni są tak wrośnięci w system, że nie dostrzegają prostego faktu: niczym kraby zarażone worecznicą pielęgnują... nie swoje jaja. Pielęgnują, nomen omen, jaja prezesów.

A ja te jaja zamierzam skopać.

Ćwiczyłem niemal codziennie, przerywając treningi tylko wtedy, gdy stanowczo odradzali to Marvin i sedes, i przyszedł wreszcie dzień, gdy uznałem, że jestem gotowy.

A był to koniec sierpnia.

I bardzo dobrze, bo zbliżał się sezon szkoleniowy i wkrótce trzeba było wziąć się do roboty.

W ostatni piątek miesiąca pojechałem Apachee do Wrocławia, załadowawszy Hektora do bagażnika. Jazda zajęła mi dwie godziny. Zaparkowałem wóz dziesięć minut spacerem od osiedla Raj, w mniejszym, nieogrodzonym, zalesionym konglomeracie bloków mieszkalnych. Parking był na uboczu, a Dodge'a ustawiłem za śmietnikiem, upewniwszy się, że nie widzą go żadne kamery.

Odetchnąłem głębiej i nakazałem dwóm korsarzom, w Me Gusta i w gabinecie Kiełbasy, autodestrukcję. Napracowały się i nastał czas zatarcia śladów. Maszynki wykonały zadanie i kolejne sto dolarów poszło do nieba.

Oparłem ręce o wolant pojazdu i wspomniałem ostatnią rozmowę z Marvinem.

- Pan wyjeżdża?

- Tak, Marvin, ale nocą wrócę.

- Doskonale, proszę pana. Przygotować sycący posiłek?

- Lasagne.

- Na którą godzinę?
- Dwudziestą trzecią.
- Bardzo dobrze, proszę pana.
- Marvin? Lubisz Batmana?
- Skoro pan go lubi, wypada mi powiedzieć, że go uwielbiam. Skąd to pytanie?
- Od dzisiaj nie mów do mnie „proszę pana”.
- A jak?
- Mów do mnie „sir”.
- Oczywiście, sir.

Dobrze, że nikt mnie nie filmował, gdy nakładałem Hektora (uznałem, że przy następnej akcji, o ile oczywiście się na nią zdecyduję, będę wchodził w to bydlę jeszcze w domu; wkładanie go w terenie jest bez sensu), przywdziewałem płaszcz, zakładałem kapelusz i rękawiczki, bo musiałby uznać, że wybieram się na bal przebierańców. Konstatację tę potwierdziłby, widząc, jak przejeżdżam palcem po czole i moje oblicze zmienia się na nalane, trudne do zapamiętania, grubo ciosane. Płaszcz zrobił się czarny, podobnie jak kapelusz. Wyszedłem z ukrycia i podążyłem w kierunku osiedla Raj, z zadowoleniem stwierdzając, że słońce schowało się za widnokrzem i jest pochmurno, więc szybko zrobi się ciemno. Gdy wynurzyłem się z zagajnika ocieniającego parking, zlustrowałem widoczne w oddali rzęsiście oświetlone skupisko domów na sztucznym wzgórzu. Przypominało luksusowy tropikalny hotel. Na każdym rogu wysokiego ogrodzenia sterczała kamera. Pokonałem jeszcze kilkaset metrów i skręciłem na ciągnącą się po prawej stronie łąkę, za którą czerniła się ściana lasu. Przykucnąłem. Na tle muru wyświetliłem zegarek. Dziewiętnasta pięćdziesiąt. Teraz musiałem cierpliwie poczekać.

Kiełbasa mówił prawdę. O dwudziestej siedem wyszedł przez główną bramę i skierował się w prawo, na zachód, prosto na błonia okalające osiedle. Jeszcze trzy minuty i znalazł się poza zasięgiem lamp. Zależało mu na tym, by nie widziały go kamery,

bo z pewnością wstydział się, że jego czworonogi przyjaciel paskudzi, a on po nim nie sprząta. Wymacałem w kieszeni Blackspray, a w drugiej puszkę z czerwoną farbą w aerozolu i cienki dozownik do tworzenia detali na graffiti.

Wzięłem wdech i przeanalizowałem sytuację: dobiegnę do niego w ciągu trzydziestu, czterdziestu sekund. Będę miał za sobą las, więc nie powinien mnie zobaczyć zbyt wcześnie. Nie usłyszy także, bo wieje, szumią trawy i drzewa. Jeden cios w szczękę, kilka ciepłych słów... cholera. Będę musiał szeptać, bo inaczej może zapamiętać mój głos... Drugi cios, silniejszy, żeby stracił przytomność. Uwaga, nie zabij go. Potem jeszcze kilka pacnięć w ryj, żeby go trochę sfatygować, powiedzmy w obie kości policzkowe, w dół oczodołów. Musi mieć siniaki, musi poczuć wstyd. Zedrzyć facenet, schować do kieszeni. Zrobić zgrabny napis na czółku. Spryskać wszystko Blacksprayem. Pies będzie czekać, więc szybko się oddalić, wsiąść do Apachee, oddać mu sterowanie, przejść na tył, zdjąć Hektora, przykryć go płaszczem, tak na wszelki wypadek, gdyby przypałała się jakaś kontrola drogowa. Wrócić na miejsce kierowcy, odprężyć się.

Podniosłem się i nakazałem Hektorowi podwyższyć obcas. Teraz miałem nie sto siedemdziesiąt, ale sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Upewniłem się, czy spodnie także się wydłużyły. Poszerzyłem wymiar barkowy. Płaszcz wypełnił się z cichym sykiem. Teraz wyglądałem jak barczysty olbrzym w kapeluszu.

Rodney, wiesz, co robisz? Jeszcze możesz się wycofać. Jeszcze możesz wrócić do samochodu, pojechać do Warszawy, mieć czystą kartotekę. Marvin czeka z jedzeniem, jest tam muzyka, wygodne łóżko, spokojne życie. Możesz to wszystko ocalić. Jeśli zrobisz to, co zamierzasz, skreślisz całość, przejedziesz po niej wielkim czerwonym pędzlem. Nic już nie będzie takie samo. A sumienie pewnie nie da ci zasnąć jeszcze przez wiele nocy.

No tak. Ale przecież ktoś musi to zrobić. Ktoś wreszcie musi.

I wychodzi na to, że będę to ja.

Chotomów, 13.01.2014